Obowiązek nauczycieli katolickich.

Z powodu enuncjacji Komisji Biskupiej.

Katolicy oddawna patrzą z niepokojem na to, co się dzieje wśród nauczycielstwa szkół powszechnych. Coraz częściej słyszy się stamtąd głosy i widzi poczynania, wrogie dla religji, zazwyczaj pod pozorem obrony zagrożonej niezależności nauczycielstwa i walki z nieuzasadnionemi uprawnieniami i wpływami duchowieństwa katolickiego. Nie przeczymy, że mogą być błędy lub niedociągnięcia po stronie duchowieństwa, jak mogą być po stronie nauczycielstwa. To są zjawiska, nieodłączne od współżycia ludzkiego. Środkiem usunięcia tych zadraśnień i braków jest wyrabianie w sobie poczucia sprawiedliwości i miłości oraz pokory, która nie przeczy wartości danej jednostki, ale je utrzymuje w należytych karbach. Taka lub inna wartość osobista człowieka ma doniosłe znaczenie społeczne. Wszakże źródłem niepokoju dla katolików i celem dążeń dla niekatolików jest coś głębszego, mianowicie dążenie do szkoły świeckiej, bezreligijnej. Walka z t. zw. zachłannością kleru i klerykalizmem jest jedynie środkiem walki, i to zwykle początkowym. Wyróżniają się tą akcją, wypróbowaną w innych krajach europejskich, poszczególne jednostki i Koła Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, na którego czele stoją nadto, niestety, ludzie, niemający zrozumienia dla św. wiary lub jej wprost przeciwni. Jest to jedno z tych gorszących zjawisk w życiu polskiem, że na czele organizacji, skupiającej przeważnie katolików wierzących, stoją ludzie obojętni dla religji, lub jej wrodzy, lub wyzyskujący ją dla ubocznych celów. Powodem tego jest początkowa oględność tych ludzi, ale głównie mała ruchliwość i mała przedsiębiorczość katolików, a przedewszystkiem brak tego przekonania, że czysta myśl katolicka ma przenikać wszystkie dziedziny życia, że religja ma być źródłem, ożywiającem wszelkie działanie, nawet najbardziej zawodowe i materjalne. Poglądy kierują czynami ludzkiemi zarówno

w życiu jednostkowem, jak organizacyjnem, a w tem — poglądy kierowników. Jeśli więc kierownicy nie mają przekonań katolickich, wcześniej czy później sprowadzą działalność organizacji, najbardziej nawet zawodowej, na zgubną drogę. Sprawdza się to jeszcze wyraźniej względem organizacji nauczycieli, t. j. tych, którzy uczą i wychowują.

Na zjeździe Z. N. S. P., który się odbył w lipcu b. r. w Krakowie, te wrogie dla religji dążności ujawniły się z większą jeszcze siłą niż dawniej, w szczególności wyraziły się w projektach wniosków, zmierzających do usunięcia ze szkoły religji, jako jej istotnego składnika (zarówno co do wykładu, jak udziału w nabożeństwach). Oczywiście nie obeszło się bez ostrych wystąpień przeciw duchowieństwu.

To stało się powodem, że Komisja Biskupia imieniem całego Episkopatu Polskiego ogłosiła dn. 9 sierpnia b. r. enuncjację, którą poniżej podajemy w dosłownym tekście.

Tutaj uwydatnimy jej myśli przewodnie.

1. Episkopat, jak zresztą całe społeczeństwo, z niepokojem śledził zło, ale ufał, że to są chwilowe zmylenia. „Już niejednokrotnie miał Episkopat Polski smutną sposobność słyszeć z kół tego Związku nauczycielskiego głosy, zmierzające do osłabienia, a nawet usuwania wpływu religijnego na wychowanie szkolne. Jednakże pocieszaliśmy się tem, że te oderwane głosy nie znajdą posłuchu w szerokich kołach całego nauczycielstwa, że przycichną, skoro o szkodliwości swych postulatów na wychowanie młodych pokoleń się przekonają".

Niestety, pewność siebie i zaślepienie stawały się coraz większe. Na ostatnim zjeździe Związku wygłaszano „postulaty, tak sprzeczne z wymaganiami zdrowego wychowania, tak nienawistne w stosunku do religji, do Kościoła i sług jego, że wzbudziły w społeczeństwie powszechne uczucie zgrozy i lęku o dusze naszej młodzieży szkolnej". To też Episkopat postulaty te potępia i piętnuje „jako bezbożne i wrogie wierze, Kościołowi katolickiemu, a zgubne dla Narodu i Państwa".

2. Episkopat przypomina tę zasadniczą prawdę, że nauczyciele są delegatami wyższych społeczeństw w zakresie nauczania

i wychowania. Przeto nie mogą dowolnie szerzyć swoich poglądów ideologicznych, ale muszą nauczać i wychowywać, zgodnie zresztą ze swojem sumieniem, w duchu tych, których zastępują. Otóż rodzice, władze państwowe i kościelne chcą, aby wychowanie było religijne. Episkopat bardzo słusznie podkreślił, że takiem jest stanowisko państwa, wyrażone w jego ustawach. „Ponieważ rodzice, Kościół i Państwo zgodnie wymagają, by nauczycielstwo wychowywało młode pokolenie w duchu religijnym, nauczycielstwo całe do tego zastosować się jest obowiązane".

3. Episkopat nie potępia nieodwołalnie Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, ale nie waha się podkreślić, że Związek N. S. P. stara się podrywać wpływ Kościoła na życie społeczne i że „odpowiedzialne czynniki Związku N. S. P. tak niedwuznacznie wypowiedziały walkę religijności w szkole". To stwierdzenie ma bardzo doniosłe znaczenie. Episkopat bowiem zwraca uwagę nietylko na to, że walczą z religją poszczególne jednostki, ale także decydujące czynniki tego Związku, do którego należą katolicy.

4. Nie potępiwszy wprost Związku N. S. P., Episkopat nie zażądał od katolickich nauczycieli, aby niezwłocznie wystąpili z organizacji, o ile pragną być w zgodzie ze swojem sumieniem.

Ale Episkopat gani nauczycieli katolickich, należących do Związku, za ich bierność i tolerowanie zła. Mówi bowiem, że „złowrogie te głosy powtarzają się coraz częściej i odzywają się coraz silniej bez ogólnego sprzeciwu tych tysięcy katolickich nauczycieli, do Związku należących". Wprawdzie ci katolicy odrzucili w głosowaniu wniosek, że nauczanie religji będzie się odbywać tylko na żądanie rodziców, i to świadczy, że są oni w Związku w większości, ale zawinili milczeniem, że nie słychać ich katolickich przekonań, i biernością, że się poddali kierownictwu ludzi, wrogich dla religijnego wychowania.

Stąd jasno wynika sposób postępowania i obowiązki, nakazane warunkami życia. Episkopat wymienia obowiązek protestu. „Zwracamy się do nich z wezwaniem o jasne zajęcie stanowiska w stosunku do tych dążeń, niezgodnych z sumieniem katolickiego i Państwu oddanego wychowawcy". Ale to nie wszystko. Waż-

niejszym obowiązkiem, niż publiczna deklaracja o konieczności religijnego wychowania, jest obowiązek, niewypowiedziany przez Episkopat, ale logicznie wynikający z zasad i okoliczności, mianowicie obowiązek oddania kierownictwa Związku w ręce katolickie lub przynajmniej takie, które nie dopuszczą do gwałcenia sumień większości katolickiej i nie będą tolerować antyreligijnej propagandy (uchwały poszczególnych kół, działalność poszczególnych członków, angażujących opinję Związku i t. d.). To jest istotne. Na czele Związku, zarówno gdy chodzi o centralny zarząd, jak o zarząd poszczególnych kół, nie mogą stać ludzie, uprawiający wrogą dla religji działalność. Realizacja tego postulatu nie jest stwarzaniem fermentu i walki wewnątrz organizacji, gdyż walkę tę zaczęli nauczyciele bezwyznaniowi, oni pierwsi wywołali zatarg, a katolicy i tak już zadługo cierpliwie znosili roszczenia bezwyznaniowe.

5. Przeprowadzenie tej walki i zmuszenie atakującej bezwyznaniowości do milczenia jest obowiązkiem katolickich związkowców. „A jeśliby ich głos i żądanie zaprzestania tej walki z religją w szkole nie doznały w tym Związku Nauczycielskim uwzględnienia, nie pozostaje katolickiemu nauczycielstwu inna droga, jak Związek taki opuścić a poprzeć taką organizację nauczycielską, która religijnemu oddziaływaniu na duszę dziecka poświęca odpowiednie zrozumienie i poparcie". Uczynić to należy, choćby się poniosło duże straty materjalne, gdyż nie można swemi pieniędzmi i swoją obecnością popierać rzeczy złej. Dobro duszy dziecka i własnej, dobro religji jest większe niż wszystkie dobra materjalne i korzyści społeczne. Ale takie wystąpienie jest ostatecznością, jest przegraną, do której katoliccy związkowcy nie powinni dopuścić. Trzeba zwyciężyć.

6. Wreszcie Episkopat zwraca się do rodziców, którzy zbyt bezkrytycznie ufają szkole i są znów zbytnio bierni.

Episkopat zwraca uwagę rodzicom na wielkie niebezpieczeństwo, jakie ich dzieciom grozi od nauczycieli niereligijnych, i na obowiązek badania, komu powierzają swe dziecko.

Wzywa, aby religijnym i pobożnym nauczycielom okazywali wdzięczność za ich pracę.

„Jeśliby atoli spostrzegli, że nauczyciel przepisy wiary lekceważy i swych obowiązków, jako katolicki wychowawca, wobec dzieci nie spełnia, rodzice powinni wespół ze swymi duszpasterzami zażądać przez Rady i Opieki szkolne od Władz szkolnych zmiany wychowawcy".

Wszyscy w końcu muszą zrozumieć, że dla dzieci katolickich szkoła, i to nie prywatna, lecz rządowa, publiczna, musi być katolicką, zatem i nauczyciel katolicki. Rodzice, jako bezpośrednio zainteresowani, powinni tego dopilnować.

Sprawa jest doniosła. We wszystkich krajach bezwyznaniowość dochodziła do ludu przez szkołę. Jedną z głównych przyczyn religijnej obojętności i bezreligijności inteligencji jest szkoła średnia, w której nie było ducha katolickiego. Ona odbierała wiarę tym uczniom, którzy wyszli z religijnej rodziny wiejskiej i miejskiej. Nie można dopuścić, aby tego samego dokonała szkoła powszechna. I dlatego, jeśli żądanie, skierowane do władz nie odniesie skutku, rodzice mają obowiązek przestać posyłać dzieci do takiej szkoły, dopóki z niej nie będzie odwołany nauczyciel, niespełniający swoich obowiązków, jako wychowawca katolicki. Nie będzie to sprzeciw przeciw ustawom o obowiązku szkolnym, lecz skłonienie władz do zaspokojenia duchowych potrzech obywateli katolickich.

Na Enuncjację Komisji Biskupiej prezes Związku p. sen. Stan. Nowak odpowiedział Listem otwartym.

Jak zawsze w tego rodzaju zatargach, p. Nowak wyraża zdziwienie, że Episkopat uległ jakiejś niesłychanie perfidnej mistyfikacji, wskutek zbyt pochopnego uwierzenia niektórym organom prasy. Zamiast poddać rewizji swoje postępowanie, Prezes Związku głosi, że Episkopat dał się wprowadzić w błąd. Tak zawsze odpowiadają ci, którzy nie są w porządku wobec Kościoła.

W samym Liście mamy dowód, że zarzuty Komisji Biskupiej były słuszne. P. Prezes Nowak pisze: „Zatargi w szkole wynikają z tendencji narzucenia supremacji władz duchownych nad państwowemi, przed czem nauczyciele bronią się słusznie". To zdanie dowodzi, że istnieje głęboka różnica poglądów. Gdzie jedni mówią: żądamy religijnego wychowania, a niem się zajmuje ducho-

wieństwo, które musi skutkiem tego mieć prawnie uznane uprawnienia, tam inni mówią: supremacja władz duchownych nad państwowemi. Źródłem tej różnicy jest różnica zapatrywań na stanowisko religji w szkole: religja nie może być tylko jednym z przedmiotów wykładowych w szkole świeckiej, ale także tem, co przenika całą szkołę. Dał temu wyraz również p. Minister Czerwiński, który przecież nie jest klerykałem, gdy w sejmie dn. 7 lutego 1930 r. złożył oświadczenie: „Stoję na gruncie prawa i z tej zasady prawnej już sumienie pedagogiczne każe mi wyprowadzić wniosek, że *i na innych lekcjach w szkole i wogóle w oddziaływaniu szkoły na młodzież nie powinno być niczego, coby tym zasadom przeczyło, żebyśmy nie wychowywali młodzieży w duchowej anarchji*".

Ta właśnie różnica w zasadniczych poglądach wskazuje, jak anormalnym jest stan rzeczy, gdy na czele organizacji nauczycieli katolickich stoją ludzie, którzy nie mają poglądów katolickich. Brakiem tych przekonań — co z konieczności wywiera ujemny wpływ na związkowców, bo wśród nich szerzy poglądy niekatolickie — tłomaczy się oświadczenie p. sen. Nowaka, że „organizacja potrafi skupić swoje siły do obrony przeciwko zakusom, godzącym w niezależność szkoły, tudzież dążnościom, podrywającym autorytet państwa i poniżającym stanowisko nauczyciela. Wierzę, że każdy członek Związku znajdzie w razie potrzeby obronę władz szkolnych i że może liczyć na poparcie solidarnych, zwartych kadr organizacyjnych i ich przedstawicielstwa. Mogę Was, Najprzewielebniejsi Arcypasterze, zapewnić, że nauczycielstwo związkowe i jego reprezentanci, tak niesłusznie i niesprawiedliwie zaatakowani, znajdą w sobie dość hartu i siły, i nie dadzą się wciągnąć na teren walki religijnej, co byłoby rzeczą niepożądaną pod każdym względem i szkodliwą dla celów wychowawczych". Oświadczenie to jest odmowną odpowiedzią Prezesa na wezwanie Episkopatu, aby zaprzestać osłabiania lub zwalczania religijności w szkole. P. Prezes Nowak zapewne nie zastanowił się nad tem, co pisze, gdy pisał, że Związek skupi się „do obrony przeciwko zakusom, godzącym w niezależność szkoły, tudzież dążnościom, podrywającym autorytet państwa i poniżającym stano-

wisko nauczyciela". A jeśli wiedział, co pisze, to frazes, że związkowcy nie dadzą się wciągnąć w walkę religijną, jest tylko demagogicznym frazesem, bo oni właśnie, ci, którzy są tych przekonań, jakie zawiera List, zaczęli walkę religijną w szkole. Podkreślamy jeszcze raz, że według p. sen. Nowaka spór między duchowieństwem a niektórymi nauczycielami, w danym wypadku, ze Związku, ma głębsze i zasadnicze podłoże, aniżeli tylko zatargi, wynikające z niedoskonałości ludzkiej. P. Prezes podkreśla, że, gdy zgłoszono wniosek o szkole świeckiej, „jeden z wiceprezesów wystąpił kategorycznie przeciw temu wnioskowi, podkreślając z naciskiem, że Zarząd Główny Związku stoi na stanowisku ustawy konstytucyjnej, wprowadzającej obowiązkowe nauczanie religji w szkole". Doskonale. Ale to nie usuwa zarzutu, który katolicy stale podnoszą: niektórzy związkowcy chcą, aby religja była tylko wykładaną, natomiast wychowanie dzieci w duchu religijnym, usunięcie przeszkód takiego wychowania lub nawet usunięcie zgorszenia, oczywiście w sposób prawny i taktowny, uznają za supremację kleru nad szkołą. Sprawa byłaby jasna, gdyby ów wiceprezes, którego oświadczenie jest zasługą Związku, był powiedział, że zdaniem władz związkowych szkoła ma być religijna, choćby tak, jak to oświadczył Minister Czerwiński. Że zarzuty i wątpliwości, podnoszone przez katolików są słuszne, widać i z tego, że zagadnienie szkoły świeckiej, o której p. prezes Nowak pisze, że jest „rozważane dziś powszechnie w całym świecie", dla katolików nie jest zagadnieniem rozważanem, lecz negatywnie rozstrzygniętem. Ciągle więc powracamy do tego, że zatarg między duchowieństwem a niektórymi nauczycielami ma podłoże głębsze. I dlatego wcale nie poruszamy drugiego wniosku w sprawie nominacji ks. Żongołłowicza na wiceministra, wniosku, usuniętego z porządku dziennego przez wiceprezesa Związku, bo to nie jest sprawa istotna dla religijności szkoły.

Jeszcze jedno. P. sen. Nowak pisze: „Osobiście niezmiernie boleję nad tą taktyką i jej skutkami, obserwując niesłychane wzburzenie mych kolegów i koleżanek, praktykujących i żarliwych katolików, którzy przedemną, jako Prezesem Związku, bezpośrednio swe żale wypowiadają". Ten właśnie fakt dowodzi, że się

w Związku źle dzieje, że „praktykujący i żarliwi katolicy", pozostając pod bezpośrednim lub pośrednim wpływem niekatolickiej doktryny i praktyki tych lub innych zwierzchników związkowych, zatracili czystość katolickiego sumienia, że już nie dostrzegają rzeczywistego niebezpieczeństwa, grożącego religijności szkoły.

P. Prezes Nowak pisze, że na owym Kongresie Związku „90 i kilku procentami głosów" odrzucono projekt wniosku o szkołę świecką. Ogół członków są to więc katolicy, ale w takim razie, dlaczego zarządy tolerują wystąpienia, na zebraniach i w prasie, które urabiają Związkowi opinję, że jest wrogim religji, i dlaczego p. Prezes Nowak składa takie oświadczenie, jak powyższe?

Dr. K. M. MORAWSKI
Warszawa.

O konieczności zorganizowanego udziału inteligencji w zbiorowej pracy katolickiej.

(Referat wygłoszony w sekcji dla inteligencji I krajowego kongresu eucharystycznego w Polsce, w sali uniwersytetu poznańskiego, w dniu 27 czerwca 1930).

Pomny słów Chrystusa Pana, że „prawda wyswobodzi was", nie mogę się trwożyć, ażeby nazbyt jawne odsłanianie wad i bolączek naszego obozu, zaraz u wstępu do mojego referatu, nie zabarwiło tego referatu zgubnym, jak to określają niektórzy, defetyzmem.

Powołam się przytem na przykład Najprzewielebniejszego Księdza Biskupa Kubiny, który w *Przeglądzie katolickim* z 17-go lutego 1929 r. wyraził się jak następuje: „Gdybym miał określić obecny stan Kościoła św. w Polsce krótkiem, ale dobitnem słowem, powiedziałbym, że... przedstawia (on) wprawdzie „turbam plurimam" — rzeszę bardzo wielką, ale nie jest jeszcze „castrorum acies ordinata" — wojskiem uszykowanem porządnie". A niżej nieco zaznaczał Pasterz częstochowski: „Zdajmy sobie jasno sprawę z tego, że bez pozyskania inteligencji dla Akcji katolickiej, nie przeprowadzimy wielkiego dzieła odnowienia narodu w Chrystusie".

Że przytoczone wyżej zastrzeżenie dostojnego publicysty nie było bezzasadne, że my w obozie katolickim czujemy się, niestety, niejednokrotnie jako to „wojsko porządnie nieuszykowane", świadczy o tem również i dyskusja przeprowadzona akurat rok temu na łamach pism, jak *Gazeta kościelna* lwowska, *Czas* i *Głos narodu* krakowskie i t. p., która to dyskusja da się zesyntetyzować w słowach głównego jej inicjatora, ks. prałata dr. Lubelskiego: „To, co się (działo)... w Meksyku, działoby się z pewnością na Węgrzech, w Czechach, w Niemczech, w Austrji,

w Belgji, Holandji, gdyby katolicy w tych krajach nie mieli silnych organizacji... Kościół zaś w Polsce... z powodu indolencji katolików i braku jakiejkolwiek organizacji poza ściśle kościelną, znajduje się w groźniejszem niebezpieczeństwie, niż się niektórym zdaje".[1]

I.

„Kryzysy reakcji politycznej i moralnej, — powiada Jakób Maritain[2] — ku którym, pośrodku nierządu powszechnego, instynkt samozachowawczy popycha narody, tylko w takim razie omieszkają się przerodzić w despotyzm brutalny a znikomy, tylko w takim razie wytworzą coś trwałego, jeżeli inteligencja zostanie odnowioną. Podobnie — wielki ruch odrodzenia religijnego, który dziś zarysowywuje się w świecie, tylko w takim wypadku okaże się trwałym i istotnie skutecznym, jeżeli inteligencja zostanie odnowioną. A jeżeli w porządku przejawów doczesnych działalności ludzkiej dopuszczalnym z punktu widzenia rozumu i całkiem zgodnym z nauczaniem Filozofa (anielskiego) jest pewien prymat polityki, — to, w rzeczach Absolutu, w porządku ustrojów najgłębszych, należy głosić: *inteligencja przedewszystkiem*, metafizyka przedewszystkiem, teologja przedewszystkiem! prawda przedewszystkiem; *veritas liberavit vos*. A biada nam, jeżeli nie potrafimy zrozumieć, że dziś, podobnie jak w dniach stworzenia świata, Słowo jest na początku działań Bożych".

„Zachód — pisze tenżesam autor w innem, świeższem studjum — zaczyna się na Golgocie. Kalwarja, centrum świata, jest punktem, dzielącym świat na Wschód i Zachód, Chrystus zaś roztacza zbawcze swe ramiona zarówno na jeden, jak i na drugi. Jeżeli chcemy stworzyć odpowiednie pojęcie kultury świata zachodniego, powiedzmy, że jestto świat, którego oś idzie od Jerozolimy do Aten i Rzymu, a rozciąga się od pustyń Egiptu i krajów berberyjskich do brzegów Atlantyku i mórz północnych,

---

[1] *Gazeta kościelna* (Lwów) z 30 czerwca 1929 r.
[2] *Saint Thomas d'Aquin apôtre des temps modernes* s. 11

obejmując w tejsamej wspólnocie najbogatszą różnorodność tradycji, urządzeń i kultów narodowych".[1]

Ta „najbogatsza różnorodność tradycji, urządzeń i kultur narodowych" wyraziła się oczywiście także w strukturze „Akcji katolickiej", a po części i w zakresie specjalnie tu nas obchodzącego jej zagadnienia.

Zacznijmy od kolebki „Akcji katolickiej", od Włoch. Skonstatujemy, że — przy t. zw. horyzontalnej rozbudowie *Azione cattolica italiana* — weszły w jej skład dwie, istniejące już dotąd organizacje, które mają charakter — że tak powiemy — „inteligencki", a mianowicie *Federazione Universitaria Cattolica Italiana*, powstała w r. 1892, na lat zatem trzydzieści przed podporządkowaniem się swojem „Akcji katolickiej", które nastąpiło w r. 1922, oraz *Le Universitarie Cattoliche Italiane*, analogiczny do tamtego związek młodzieży katolickiej w wyłączności żeńskiej.[2]

Co się tyczy „najstarszej córy Kościoła", Francji, to notować się tam może poszczególne zaledwie objawy, któreby świadczyły o tem, że inicjuje się w kraju tym ruch koordynacyjny pośród inteligencji pracującej i twórczej.[3] Jeżeli bowiem, jak wiadomo, „Akcja katolicka" — w ramach ustalonych dla niej przez Stolicę świętą — organizuje się w całym świecie na poziomie pionowym (w pierwotnem założeniu włoskiem — *consiglio parrocchiale, giunta dioecesana, giunta centrale)*, a także poziomym (aglomeracja i koordynacja poszczególnych istniejących już stowarzyszeń), to we Francji mamy dowód, że ewentualnie stowarzyszenia katolickie mogłyby się grupować w „Akcji" czy przy „Akcji" wedle innego jeszcze kryterjum, a to wedle przynależności zawodowej poszczególnych katolików. Leżą przed nami akta i statuty francuskiego bractwa lekarskiego świętych Łukasza, Kosmy i Damiana,[4] bractwa, którego najdawniejsze tradycje sięgają jeszcze

---

[1] *Jedność kultury chrześcijańskiej*. Tłomaczenie w *Prądzie*, kwiecień 1929, s. 221

[2] Schlund, *Die katholische Aktion* s. 25—7

[3] Por. Viance, *La fédération nationale catholique* s. 239

[4] „Bulletin de la société médicale de saint Luc, saint Côme et saint Damien" (Janvier 1927 et Mars 1930). Wskazanie mi tej informacji zawdzięczam X. dyrektorowi Lewandowiczowi.

brzasku zeszłego stulecia, którego prawzór równoimienny organizował był niegdyś słynny Dominikanin Lacordaire, zanim ówczesne to bractwo nie połączyło się z Trzecim Zakonem, które zaś później rozwinęło się na dobre za pontyfikatu Leona XIII, upatrującego słusznie w myśli jego inicjatorów dążność do wskrzeszenia korporacji średniowiecznych we formach, w którychby szukało się, jak niegdyś w tamtych, uświęcenia osobistego, każdy w swoim zawodzie. Czytamy tamże reskrypt kardynała-arcybiskupa Paryża, monsignora Verdiera, z 8 marca b. r., w którym zatwierdza kardynał statuta wspomnianego bractwa, przeznaczając mu na siedzibę bazylikę Wotum Narodowego Serca Jezusowego w Paryżu, której proboszcz zostaje odtąd dyrektorem duchownym bractwa. Dodać zaś należy, że bractwo stawia sobie za cel cały szereg zadań praktycznie-aktualnych, jak np. walkę z neomaltuzanizmem i nieobyczajnością publiczną, że członkowie jego studjują i opracowują wspólnie zagadnienia zaczerpnięte z pogranicza niejako dyscyplin medycznych a religijnych, że nie zapominają oni nareszcie i o potrzebach materjalnych członków bractwa. Dodać również należy, że podobne bractwa św. Łukasza istnieją także i w innych krajach, jak mianowicie Belgji, Anglji, Hiszpanji, Portugalji, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Kolumbji i Brazylji.

Z innych krajów romańskich czy częściowo romańskich, dobrze naogół zorganizowaną w zakresie „Akcji katolickiej” Belgję zdystansowała w dziedzinie specjalnie nas obchodzącej Szwajcarja, gdzie na kongresie inteligencji katolickiej, odbytym we Fryburgu w dniach 23—24 kwietnia b. r., z udziałem tak wybitnych działaczy katolickich, własnych i doproszonych, jak o. Munnynck, prof. Maritain i red. Eberle, położono fundament pod systematyczną działalność katolickiej inteligencji szwajcarskiej.[1]

Przechodząc teraz do krajów germańskich, specjalny nacisk położyć winniśmy — w poszukiwaniu wzorów dla polskiej „Akcji katolickiej” — na Niemcy, mianowicie zaś na istniejący tamże z siedzibą centralną w Kolonji *Katholischer Akademiker-Verband.* Jeden z przywódców tego ruchu, redaktor kwartalnika *Der katho-*

---

[1] Patrz „Głos narodu” z 12 maja b. r.

lische Gedanke, Franciszek Ksawery Münch, trafnie zwraca uwagę w rozprawce na temat wewnętrznego położenia w tym związku[1] na stan Niemiec po klęsce 1918 r. i na rolę, jaką w uzdrowieniu tego stanu przyjął na siebie katolicyzm. Katolik-patrjota porównywuje Niemcy powojenne do owego „męża niektórego Macedończyka", co we śnie ukazał się Pawłowi i „prosił go i mówił: Przyszedłszy do Macedoniej, ratuj nas!" Od czego zaś w szczególności ratować miała Niemcy organizacja *Katholischer Akademiker-Verband*? Paragraf drugi statutów związku opiewa: „Celem związku jest umacnianie i pogłębianie wiary swoich członków oraz przenikanie życia publicznego duchem katolickim..." Tego snać najpilniej potrzeba było Niemcom powojennym, o to wołał do następców Pawłowych wielkim głosem symboliczny Germanin-Macedończyk. Bo — jak powiada znowu Fr. Ksawery Münch — „specjalne zadanie związku w stosunku do inteligencji wyrosło samo na gruncie skonstatowanej u tejże inteligencji infekcji przez liberalizm, relatywizm i kantowską tendencję duchową". A i Stolica św., w liście do prezesa związku Kirnbergera, w podobny sposób charakteryzowała najważniejsze jego cele: „Ma on odwagę przeciwstawiać się zarówno tym prądom umysłowym, które się oderwały od zdrowej tradycji *philosophia perennis,* jak również tego rodzaju historjozofji, która przeocza najgłębsze podstawy katolickie cywilizacji niemieckiej, aczkolwiek te właśnie metody myślowe, powszechnie zagnieżdżone w szkołach, zwłaszcza wyższych, zapanowały tam w sposób tak przeważający, iż budzićby mogły wrażenie, że są wyrazem prawdy i istotnym dorobkiem cywilizacyjnym ducha niemieckiego". Do związku przystępować mogą wszyscy ci, którzy posiadają wykształcenie akademickie. Należy do niego szereg wybitnych osobistości z Niemiec, Austrji i innych krajów o ludności niemieckiej. Związek dzieli się na sekcje, jak socjologiczną, pedagogiczną, zagraniczną itp. Rozciąga on pieczę i nad życiem duchowem tych, których z łona

---

[1] „Von der inneren Lage des katholischen Akademiker-Verbandes" w *Der katholische Gedanke,* passim. Również tę informację, jak i poniżej podane o zjeździe w Gelsenkirchen i Austrji, zawdzięczam X. dyrektorowi Lewandowiczowi.

swojego pragnąłby widzieć promieniujących nazewnątrz jako apostołów laicznych, organizuje przeto dla nich rekolekcje zamknięte i stara się uświadamiać każdemu z członków wagę i postulaty etyczne indywidualnych jego zajęć zawodowych. I tak np., wiosną 1929 r. zorganizował związek w Gelsenkirchen „tydzień", poświęcony w całości zagadnieniom pedagogiki społecznej i stosunkowi do nich ludzi z wykształceniem akademickiem.[1] Zeszłej znów jesieni, z okazji złotego jubileuszu kapłańskiego Papieża, zorganizował związek w Monachjum kurs akademicki p. n. *Religion und Recht*, z tego rodzaju wystąpieniami oratorskiemi, jak wykład wirtemberskiego ministra sprawiedliwości Beyerlego o „Ideale katolickiego prawnika", wykład prokuratora generalnego w Kolonji, dr. Rusta o „Stanowisku i obowiązkach katolickiego kryminologa praktycznego w obliczu demoralizacji ludności" i t. p.

W Wiedniu wreszcie niedawno, bo 26 kwietnia b. r., odbyło się — z wielką uroczystością — zebranie założycielskie analogicznego *Akademiker-Vereinu*. Zgromadzono się w sali sejmu dolnoaustrjackiego, a po zagajeniu posiedzenia przez X. kardynała-arcybiskupa wiedeńskiego Piffla, odczytany został list powitalny prezydenta związkowego Miklasa, w którym Głowa państwa austrjackiego oświadczała między innymi co następuje: „Dzisiaj zaprawdę idzie rzecz o całą stawkę. Nie o dobra materjalne walczyć musimy, tu chodzi o wiele więcej: o duszę ludu naszego, o byt albo o niebyt społeczeństwa chrześcijańskiego... Materjalizm... więzi w swoich okowach, (okowach) życia praktycznego niezliczone jeszcze miljony współczesnych, tysiące naszych współobywateli. Stopniowe zaś wyzwolenie tych tysięcy, wyprostowanie mas, co duchowo się załamały, pozyskanie ich dla idealizmu chrześcijańskiego, napełnienie ich nową nadzieją, będzie musiało być najosobliwszem zadaniem Akademickiego Związku Katolickiego. Jedno (bowiem) wydaje mi się w tej chwili koniecznością palącą: wpojenie masom szerokim ludu naszego przekonania niezachwianego, że, bez prawdziwej a żywej wiary w Boga, nie może

[1] „*Volkserzichung und Industrie.* Die Vorträse und aussprache der Gelsenkirchener Tagung", Augsburg 1930

być szczęścia trwałego w ojczyźnie, nie może być prawdziwego pokoju...” Zebranie założycielskie zakończyło się referatem dawnego kanclerza związkowego, monsignora Seipla, o „Stanowisku Akademika katolickiego (w tem szerszem oczywiście słowa znaczeniu) w życiu publicznem”.[1]

II.

Przechodząc obecnie do stosunków polskich, zaczniemy przegląd nasz od organizacji, która uchodzić może słusznie za łącznik pomiędzy Polską a pewnemi środowiskami zagranicznemi, których programem jest naukowe badanie zagadnień katolickich, a w związku z tem przenikanie życia społeczeństw w ich całokształtcie duchem katolickim. Mam tu na myśli *Unję katolicką badań międzynarodowych.*[2] Założona w roku 1920 we Fryburgu szwajcarskim, od roku 1927 posiada zorganizowaną w ustrój federatywny grupę polską, złożoną z poszczególnych kół lokalnych, która przygotowała między innemi uwieńczony pełnem powodzeniem zjazd Unji w Warszawie w jesieni 1928 r. Celem przewodnim Unji jest uchrześcijanienie stosunków pomiędzy państwami a narodami, drogą zaś do tego wiodącą jest właśnie owo naukowe w duchu katolickim badanie zagadnień międzynarodowych, nie bez kontaktu z instytucjami tego rodzaju, jak Liga Narodów, a w szczególności jej Komisja Współpracy Umysłowej, jak dalej Związek Uniwersytetów Katolickich i t. p., przy udziale zaś tak wybitnych indywidualności katolickich, jak prezes Unji, p. Gonzague de Reynold, autor cennego dzieła p. t. „La démocratie et la Suisse”, jak organizator grupy francuskiej Mgr. Beaupin, jak o. Yves de la Brière, znakomity znawca katolickiego prawa międzynarodowego, jak ks. Joerger, sekretarz generalny międzynarodowego związku „Charitas” i w. i. W zarządzie „Unji” reprezentowaną jest grupa polska przez prof. Rostworowskiego

[1] Patrz *Reichspost* z 27 kwietnia b. r.

[2] patrz Halecki, *Unja katolicka badań międzynarodowych* w „Studjach katolickich” I, 59—63

jako wiceprezesa. Właśnie w obecnej chwili toczą się we Fryburgu doroczne obrady komitetu „Unji", podczas których ze strony polskiej przedstawiony zostanie wniosek o utworzenie związku międzynarodowego pisarzy katolickich.

Obok kół grupy polskiej „Unji" w Warszawie, Krakowie, Lublinie, Lwowie, Poznaniu i Wilnie istnieje od r. 1921 w Warszawie *Koło Studjów Katolickich.*[1] Koło ma za cel: „a) pogłębianie wiedzy katolickiej i życia religijnego pośród członków..., b) zainteresowanie inteligencji polskiej ruchem katolickim i zgrupowanie czynnej elity katolickiej, c) bieżącą ewidencję instytucyj, organizacyj i przedsięwzięć katolickich w kraju i zagranicą dla skoordynowania ruchu katolickiego". Środkami zaś wiodącemi do osiągnięcia wzmiankowanych celów są: „a) samokształcenie członków w drodze wspólnej lektury i komentowania Pisma św. oraz ewentualnych referatów dyskusyjnych o treści religijnej lub związanej z religją, a także w drodze prac komisyjnych; b) urządzanie zebrań gościnnych, odczytów lub kursów publicznych, a z czasem przystąpienie do działalności wydawniczej; c) prowadzenie ewidencji piśmiennictwa katolickiego, krajowego i obcego, organizowanie ankiet, utrzymywanie kontaktu z ruchem katolickim poza granicami kraju". Można powiedzieć, że „Koło studjów", w ciągu blisko 10-letniego istnienia, w znacznej mierze wypełniło realną treścią statutowe swoje ramy. Dość wspomnieć, że — poza samokształceniem członków i zorganizowaniem całego szeregu referatów dyskusyjnych wewnętrznych i odczytów publicznych, wygłoszonych przez prelegentów polskich i obcych — „Koło" urządziło również szereg kursów religijnych z udziałem tak wybitnych uczonych, jak ś. p. biskup Lisiecki i jak profesorowie księża Bukowski, Kwiatkowski, Wilhelm Michalski, o. Woroniecki i Żychliński. W okresie zaś pracy za lata 1926—7 przystąpiło wreszcie „Koło" do zapowiedzianej statutem akcji wydawniczej z wyraźnym celem „dotarcia przez te wydawnictwa do środowisk naszej inteligencji" i dostarczenia jej w przystępnej

---

[1] patrz T. Romer, *Koło studjów katolickich w Warszawie.* Tamże, s. 10—20

formie a estetycznej szacie pouczeń o prawdach wiary i kolejach Kościoła oraz budujących lektur w postaci tekstów wybranych, przedewszystkiem tomistycznych i benedyktyńskich.

Nim zwrócimy się w porządku chronologicznym do najświeższego pod względem formalnym zrzeszenia polskiej inteligencji katolickiej, pozwolę sobie wtrącić tu nawiasowo wzmiankę o enuncjacji, która o tyle wymaga zarejestrowania w referacie niniejszym, że można się było po niej spodziewać powstania na gruncie polskim odpowiednika omawianego wyżej paryskiego bractwa św. Łukasza, Kosmy i Damiana, że zaś w każdym razie świadczyła o tem, jak dalece tego rodzaju grupy zawodowe, chociażby występujące doraźnie, mogą się Akcji katolickiej przysłużyć. Mam tu na myśli piękną *odezwę koła lekarzy imienia Karola Marcinkowskiego w Warszawie* do wszystkich członków polskich izb lekarskich, wydrukowaną w poznańskich „Nowinach lekarskich" z 15 kwietnia 1926 r., a wydaną *ex re* konfliktu o przysięgę w sądownictwie izb wymienionych, która to przysięga uchwalona została jako postulat szerokich naszych kół lekarskich, spotkała się zaś z konsekwentnym oporem niektórych czynników urzędowych. Otóż, jeżeli cytujemy na tem miejscu ów epizod z odezwą koła imienia Marcinkowskiego, to dlatego także, że wspomniana organizacja skorzystała z tej pojedyńczej, ale ważnej sprawy, ażeby dyskusję przenieść na dużo szerszą platformę: „Międzynarodowe mocarstwo bezimienne — głosiła więc odezwa — ten moralny potwór wielogłowy, on to podkopuje ołtarze, wystawione prawdom wiecznym, on to obniża i trzebi ducha, on to stara się zgasić podniesienie duchowe. Jego to parzy Krzyż. On to paczy i rozprzęga życie społeczeństw, siejąc nienawiść zamiast miłości. On to czuwał po obu stronach wojennego frontu, aby obie strony walczące wzajemnie się zmogły, a żadna, żeby nie wyszła zwycięsko. On to, gdy w rozwoju wypadków padły okowy z Polski, stanął u kiełkowania odnowionego państwa polskiego i czujnie pilnuje, ażeby każdy pęd rósł krzywo, ażeby żadna gałąź nie rozwinęła się zdrowo, żeby trucizną podlewane drzewo Polski nie rozrosło się potężnie wbrew jego woli..." „Jedną z gałęzi drzewa Polski — dodawała odezwa — jest polski

Stan Lekarski. Jego wyrazem są Izby Lekarskie". Wchodząc zaś nareszcie w *meritum* sporu, konkludowała odezwa: „Walka ta nie jest nowością. Przypomnijmy sobie walkę o wyniesienie Krzyża z sali posiedzeń sejmowej. Przypomnijmy sobie zorganizowane usiłowania zastąpienia wszędzie religijnej przysięgi świeckiem przyrzeczeniem. Przypomnijmy sobie gorliwość w znoszeniu świąt chrześcijańskich w bezrobotne lata, pod pozorem walki z próżniactwem, a jednocześnie wprowadzenie 46-godzinnego tygodn.a pracy w drodze przymusowej. Jest to jeden i tensam nurt, usiłujący podmyć nawet symbole chrześcijańskie w Polsce".[1] Zatrzymaliśmy się dłuższą chwilę nad epizodem z przysięgą sądową w polskich Izbach Lekarskich, w walce o którą przodowało koło warszawskie imienia Marcinkowskiego; odrębną inicjatywę, ale także na gruncie zawodowym, podjęło w roku bieżącym „Koło studjów katolickich", organizując, jak zdołaliśmy się poinformować, poufną na razie ankietę prawniczo-lekarską w sprawie osławionej kampanji, wszczętej na łamach prasy warszawskiej na rzecz niekaralności przerywania ciąży. Osobnym wreszcie przedmiotem badań organizujących się Związków inteligencji katolickiej stanie się z pewnością także zaogniona dzisiaj kwestja naszego szkolnictwa.

Najmłodszy *Związek polskiej inteligencji katolickiej* wytworzyło „Odrodzenie". „Najmłodszy" brzmi tu jakby paradoks, gdyż zasługi organizacji „Odrodzeniowej", przedewszystkiem w zakresie urabiania dusz dla Chrystusa, sięgają jeszcze okresu wojennego. Faktem pozostaje jednak, że „Związek Polskiej Inteligencji Katolickiej Odrodzenie" jest formacją nader świeżą, gdyż wyłoniony został na Radzie Naczelnej „Związku Senjorów Odrodzenia" dopiero w kwietniu b. r. Celem związku, którego siedzibą centralną jest Lublin, jest „oparcie całokształtu życia polskiego na zasadach katolickich, w szczególności (zaś) przygotowanie i organizowanie polskiej inteligencji katolickiej dla wykonania zadań akcji katolickiej według wskazań Stolicy Apostolskiej i pod kierownictwem Hierarchji kościelnej przez: a) pielęgnowanie religijnego

---

[1] Sprawa przysięgi sądowej w Izbach Lekarskich nie doczekała się podziśdzień pomyślnego załatwienia, jak nas łaskawie informuje były prezes koła lekarzy imienia Karola Marcinkowskiego.

i moralnego życia członków Związku; b) pogłębienie i krzewienie kultury katolickiej w Polsce; c) działalność społeczną w myśl zasad chrześcijańsko-społecznych" oraz przedewszystkiem „e) współpracę z organizacjami akcji katolickiej, w szczególności z organizacją młodzieży akademickiej, wchodzącą do akcji katolickiej..." Hasłem związku jest „Oddać Polskę Chrystusowi". Patronem Związku jest św. Paweł Apostoł.[1]

Kto zna zbliska ducha i organizację „Odrodzenia", kto miał w szczególności sposobność uczestniczyć chociażby w jednym z ośmiu dotychczasowych „tygodni społecznych", urządzonych przez toż „Odrodzenie" w Lublinie, ten wie, że uchwalone na II-gim kongresie w Warszawie przystąpienie wspomnianej organizacji do „Akcji katolickiej" nie było dziełem przypadku ani formy, ale płynęło z najgłębszych jej założeń duchowych i programu. Cóż znaczyła bowiem tyloletnia już praca intelektualno-moralna właściwych inicjatorów i inspiratorów „Odrodzenia", jak nie robotę przygotowawczą dla akcji rozwijającej się dzisiaj pod egidą Chrystusa-Króla? Porównajmy wzmiankowane przez nas wyżej zjazdy dzisiejsze „Akcji katolickiej" — czy ten, który zajmował się zeszłej jesieni stosunkiem religji do prawa w Monachjum, czy ten znowu, który obecnej wiosny kładł podwaliny we Fryburgu pod szerzej zorganizowaną akcję inteligencji szwajcarskiej — z „tonem" i przebiegiem dorocznych zjazdów lubelskich! Co do liturgicznych nawet szczegółów panuje tutaj — z ducha uniwersalnego w Kościele wypływająca — zbieżność: w Monachjum czy Lublinie taksamo uczestnicy kongresów, przy dźwiękach chorału gregorjańskiego, przystępują do Stołu Pańskiego; w programie zarówno lubelskim, jak monachijskim, czy fryburskim, w pracach naszych „Tygodni społecznych", komisji socjologicznej *Akademikerverbandu* czy w temacie zjazdu przyszłorocznego inteligencji szwajcarskiej, mającego być poświęconym w całości kwestji społecznej, uwydatnia się wspólna wszystkim czynnym katolikom żądza spacyfikowania wewnętrznego świata pod hasłem *Pax Christi in regno Christi*. *Prąd* zaś nasz lubelski — w najcięż-

---

[1] patrz „Statut Związku Polskiej Inteligencji Katolickiej Odrodzenie" z 26 kwietnia 1930 r. (dołączony do miesięcznika *Prąd*, numer majowy 1930 r.)

szych zazwyczaj warunkach finansowych — od szeregu już lat spełnia tężsamą misję uświadamiania inteligencji katolickiej, którą od dwóch lat zaledwie, w tyle zasobniejszych i dawniej zorganizowanych środowiskach niemieckich, wziął na siebie *Der katholische Gedanke.*

III.

Po dokonaniu powyższych dwóch, nie roszczących sobie zresztą żadnej pretensji do kompletności przeglądów,[1] powrócimy do naszego punktu wyjścia i chociażbyśmy nie mieli w pełnej mierze podzielać pesymistycznej oceny, cytowanej wyżej, ks. prałata Lubelskiego, że w obozie katolickim w Polsce brak jest jakiejkolwiek organizacji poza ściśle kościelną, to zgodzić się będziemy musieli z Najprzewielebniejszym Ks. Biskupem Kubiną, w tem mianowicie, że inteligencja, biorąca udział dotychczas w zbiorowej pracy katolickiej, nie jest wojskiem uszykowanem porządnie, nie jest *castrorum acies ordinata.* A jeżeli staniemy na tem właśnie stanowisku, które poniżej postaram się kilkoma jeszcze uwydatnić przykładami, to zaraz logicznie nasunie nam się postulat, dla uporządkowania stosunków omawianych niezbędny, postulat skoordynowania pracy katolickiej, a w szczególności udziału w niej inteligencji, postulat zestrzelenia i zarazem uproszczenia agend poszczególnych instytucji, a temsamem wytworzenia tego bliższego kontaktu duchowego i intelektualnego pomiędzy katolikami z różnych stron Polski, jaki faktycznie dotąd nie istnieje albo też manifestuje się, nie w pracy codziennej, ale przy nadzwyczajnych tylko sposobnościach.

Miałem, w czasie przygotowania tego referatu, sposobność rozmawiać z prezesem zarządu grupy polskiej „Unji Katolickiej Badań Międzynarodowych", który zwrócił uwagę moją na fakt, że w Austrji grupa Unji opiera się o sekcję zagraniczną znanej wiedeńskiej „Leogesellschaft". W łączności takiej dwóch insty-

[1] I tak pomijam wzmiankę o owocnej działalności tak zasłużonych organizacji, jak „Liga Katolicka", czy „Sodalicje Marjańskie", tylko dlatego, iż organizacje te nie wydają mi się mieć za cel, jak wymienione w tekście, naukowego badania zagadnień katolickich.

tucji pokrewnych, dążących do celów tychżesamych, a mianowicie — naukowego badania zagadnień katolickich, a w związku z tem — przenikania całego życia społecznego duchem katolickim, widział prezes grupy polskiej „Unji” *memento* i dla nas i wyraził gotowość użycia autorytetu swojego w tym kierunku, iżby, wzorem precedensu austrjackiego, grupa owa przemienioną została z czasem na sekcję zagraniczną powstać dzisiaj mającego w tej sali „Związku Inteligencji Katolickiej”. Podobne skoordynowanie się czy uproszczenie, rokujące w przyszłości redukcję biurowości i posiedzeń, zainicjowane już zostało w Warszawie, na gruncie „Unji Katolickiej” i „Koła studjów”, na razie w sposób ściśle personalny, a to tak, że prezes obecny „Koła studjów” jest zarazem sekretarzem koła warszawskiego „Unji”.

Tego rodzaju koordynacja formalna czy personalna nie może jednak wystarczyć. Więcej chodzić musi o koordynację duchową. Wspomina np. sprawozdanie warszawskiego „Koła studjów”, że „co drugie (jego) zebranie wewnętrzne poświęcone było sprawozdaniom bibljograficznym, opartym w znacznej mierze na bogatej dokumentàcji, łaskawie udostępnionej członkom i gościom Koła przez *Bibljotekę Wiedzy Religijnej* przy ul. Litewskiej 6 w Warszawie”. Tażsama *Bibljoteka Wiedzy Religijnej* stanowiła w latach 1927/8 siedzibę naturalną zawiązanego w Warszawie w roku 1926 *Zrzeszenia Pisarzy Katolickich,* do którego za chwilę powrócę; stanowi ona po dziś dzień oparcie dla znanej mi luźnej grupy inteligencji warszawskiej, starszej i młodszej, która w sezonie zimowym schodzi się przy niej co dwa tygodnie, aby, po wspólnej modlitwie, informować się wyłącznie niemal w zakresie koordynowania i usprawniania pracy katolickiej. Tu już — całkiem po przyrodniczemu — potrzeba wytworzyła organ.

Analogiczne oparcie dla pracy katolickiej w Krakowie przedstawia — o ile mi wiadomo — *Naukowy Instytut Katolicki,* stanowiący centrum właściwe dla miejscowej inteligencji katolickiej, a wyposażony w zasobną bibljotekę. Niechaj mi jednak będzie wolno wyrazić żal, że pomiędzy tym „Instytutem Naukowym” krakowskim, a grawitującemi wokół Bibljoteki Wiedzy Religijnej w Warszawie formacjami myśli katolickiej nie widać, jak dotąd,

żadnego bliższego kontaktu. Albowiem wymienione dwa instytuty mogłyby, przy zaprowadzonej pomiędzy nimi kooperacji, w dużo wyższej jeszcze mierze, niż dotąd, stać się organami, lokalizującymi w sobie tendencje i aspiracje katolickie. Z takich to instytutów, — a dołączyć do nich należy oczywiście i poważny *ośrodek lubelski* — ze skupionych dookoła nich *acies bene ordinatae* działaczy katolickich, jako z tyluż *foyers de propagande,* promieniować będzie mogła dopiero na społeczeństwo ogólnopolska kooperacja katolików, dosyć ścisła na to, iżby inteligentowi katolickiemu, wędrującemu z jednego miasta do drugiego, wystarczało, wyrażając się zgodnie z symboliką starochrześcijańską, ujawnić kawałek „tessery" własnej i dopasować ją odrazu do „tessery" napotkanego współpracownika.

Tego wszakże rodzaju stan rzeczy przeczuwać na razie możemy oczyma jedynie duszy — dosyć on jest odległym od rzeczywistości potocznej. Świadomie — z przeglądu zrzeszeń inteligencji polsko-katolickiej — wyłączyłem *Zrzeszenie pisarzy katolickich* w Warszawie, o którem wypadałoby szerzej się rozwieść w referacie popołudniowym sekcji prasy i piśmiennictwa; tu tylko nadmienię, że pożyteczna ta placówka, będąca *par définition* jednem z ważnych ogniw organizacji zawodowej działaczy katolickich, laborowała nienajmniej na swojem w stosunku do innych środowisk polskich odosobnieniu. Stwierdzam, że niestety! brak jest łączności pomiędzy pisarzami katolickimi jednego czy drugiego miasta, że wiedzą oni o sobie niedosyć i mało naogół współczują wysiłkom swoim. Zapewne! przyczyniają się do izolacji ich wzajemnej trudne do pokonania w dobie kryzysu finansowego przeszkody techniczne, ale przyczynia się również — śmiem to podkreślić — w wypadkach wielu — indolencja czy — nadewszystko — brak poczucia solidarności ideowej, który sprawia, że danego pisarza widuje się częściej w innem, niż przyrodzone mu i przyzwoite, towarzystwie intelektualnem.

Jeżeli zaś wyżej powiedziałem, że chciałoby się widzieć w czołowych instytucjach katolickich to, co Francuz chrzci mianem *foyers de propagande,* to dlatego także, że u nas opinja — i opinja katolicka — dziwnie bywa wątła, dziwnie podatna na różne

infiltracje i infekcje, dziwnie eklektyczna i pobłażliwa w zakresie intelektualnym.[1] Chodzi więc o to, aby, gdy na chmurnym i dusznym horyzoncie europejskim zapalają się coraz to nowe semafory jaskrawem napozór olśniewającem światłem — czy im na imię Ludwig czy Maurois czy Boy - Żeleński — po stronie naszej zorganizować się mogła nareszcie opinja, umiejąca wykazać, w czem blask tamtych imion jest zwodniczy i by obóz nasz potrafił się zarazem wylegitymować spójną, świadomą celu, tchnącą umiłowaniem ideału współpracą prawdziwie wartościowych talentów. Nie chodzi tutaj o to — chociaż warunki egzystencji duchowej i materjalnej pisarza katolickiego bywają dzisiaj wyjątkowo ciężkie — nie chodzi o to przedewszystkiem, iżbyśmy, za przykładem zawsze praktycznych Francuzów, organizowali w naszych zrzeszeniach inteligencji, odrazu kasy zapomogowe, jak te np., które istnieją w bractwie paryskiem św. św. Łukasza, Kosmy i Damjana, ale chodzi o wytworzenie tej solidarności ideowej, która najtrwalszym bywa łącznikiem we wszelakiego rodzaju zrzeszeniach ludzkich.

Veritatem facere in caritatem! — to oto hasło Pawłowe obiera sobie ideolog niemieckiego *Akademiker-Verbandu.* Mam zaszczyt przemawiać w mieście, gdzie, jak nigdzie indziej w Polsce, doczekała się owa podstawowa w wierze naszej *Caritas* wytworzenia godnych siebie ram i organów. Nie potrzebuję tedy zanadto akcentować, jaką wagę powinna mieć ta jedynie „żywa wiedza” w życiu i działalności zorganizowanych inteligentów katolickich. Tutaj to dopiero w całej pełni realizuje się zalecane nam apostolstwo laiczne, tosamo, które, przed stuleciem, skupiało, dookoła katedry profesorskiej niezapomnianego Fryderyka Ozanama w Sorbonie, setkę serc gorących, rozpłomienionych wiarą i miłością.[2] A dziś, gdyby nawet przyrodzona słabość ludzka

---

[1] Słusznie pisze o tem p. Wędrychowski w *Prądzie* (czerwiec 1930 s. 352): „... Inteligencja potrafi czynnie poprzeć obce katolicyzmowi przedsięwzięcia, budując np. wspaniałe domy Y. M. C. A. Co więcej, niekiedy ostrzeżeniom hierarchji nie wierzy, przeciwstawiając im ostrzeżenia protestantów lub indyferentnych katolików, że w organizacji Y. M. C. A. żadne niebezpieczeństwo wierze członków nie grozi”.

[2] por. choćby Girard, *Un catholique romantique: Frédéric Ozanam.*

skłaniała nas do stanu nieczułego, potępionego przez Apostoła, stanu „miedzi brząkającej” czy „cymbału brzmiącego”, życie powojenne uczy nas na każdem kroku, że „teraz trwają wiara, nadzieja, miłość, a z tych większa jest miłość”.[1] I w tym zakresie — splecenia działalności pedagogicznej inteligenta wogóle w społeczeństwie z tą ściślejszą pedagogiką społeczną, jaką zalecają wspomniane wyżej obrady gelsenkircheńskie — widzę znowu dla powstającego związku możność wyzyskania już istniejących wzorów zagranicznych, jakkolwiek znawcy co do praktyczności specyficznych wzorów niemieckich żywią daleko idące zastrzeżenia.

Sądzę zatem, że za bezsporny uznać możemy postulat zjednoczenia, postulat uproszczenia, a zarazem ożywienia Akcji katolickiej pośród inteligencji; sądzę, że samo przez się rozumie, iż do zjednoczonej tej akcji wejdą, jako równouprawnione, a może zrazu sfederalizowane jej człony, wszystkie te związki, które latami ofiarnej pracy ideowej przygotowywały zasiew pod dokonywujące się żniwo. Na zakończenie — jako postulat indywidualny — pozwolę sobie wysunąć jeszcze stale przezemnie akcentowane życzenie odmłodzenia kadrów tej akcji, jak każdej akcji, w duchu — powiedzmy — takiej „Revue des Jeunes” czy „Compagnia San Paolo”. Nie chodzi tu oczywiście o żadną granicę wieku dla „akademików” polskich: nieraz wszakże w otoczeniu najbliższem spotykamy starców, których siwizna „młodszą jest młodości”. Ale, mając to szczęście, że stykam się ustawicznie z młodzieżą i to niejednego kierunku, wiem, jak odmiennie od starszej generacji reaguje ona na intelektualne zagadnienia chwili.

Na to, co powiedziałem, pozwolę sobie przytoczyć dwa jeno, ale mniemam, że wymowne przykłady. 1. Wiosną 1927 r. pojawiła się w Krakowie książka, będąca pamiętnikiem jednego z najznakomitszych bojowników katolickich stulecia XIX-go, Pawła Popiela, człowieka, którego życie całe przeniknięte było nawskroś nauką Chrystusową. I stwierdzić muszę, że głos ten zagrobowy przebrzmiał niemalże bez echa pośród starszego pokole-

[1] Wskazać tu również wypada na świetnie prowadzoną w stolicy organizację charytatywną młodzieży akademickiej „Pomoc Bliźniego”, której akcja oby rychło mogła się rozszerzyć i na starsze także społeczeństwo!

nia; ile za to razy sposobność miałem rozmawiać o tej książce z czytelnikiem młodym czy takim przynajmniej, który odczuwa żywotnie hasła nowej naszej epoki, nie taił on swojego dla niej zachwytu. Tak „późny wnuk” czuł się bliższym „młodej siwizny” pradziada, niż pokoleń pośrednich. Przykład drugi: Panuje dziś niemalże *consensus communis*, iż wyświetlenie problemu stowarzyszeń tajnych i roli, jaką odegrały w dziejach, będzie dla Kościoła i Polski zagadnieniem pierwszorzędnem. Badacze polscy — zarówno fachowcy, jak dyletanci — rozpoczęli już w ciszy gabinetów, a — śmiem powiedzieć — z należytą rozwagą, studja nad genezą, metodami i wynikami dziejowemi najzgubniejszej sekty. Otóż, jako jeden z tych, którzy na lata rozłożone to zadanie wzięli na swoje barki, uwydatnić pragnę — nie wdając się zresztą w bezpłodne rekryminacje — że w pracy tej pionierskiej, a zanim jeszcze świadomość groźnego niebezpieczeństwa przeniknąć zdołała do intuicyjnych przynajmniej odczuwań narodu, natrafialiśmy w starszem, przedwojennem, hołdującem sztywnym metodom myślowym społeczeństwie na niezrozumienie i sceptycyzm u tych nawet, którym znaną chyba była być powinna czujna a przenikliwa kontrakcja Watykanu od Klemensa XII do Piusa XI.

Zgoła inaczej na groźby naszej epoki zapatruje się inteligencja młoda. Więc dlatego nie mogę inaczej referatu zakończyć, chociaż sam synem jestem

wieku, co wczesnej doczekał starości,
sam podkopawszy prawa swego bytu,
wieku, co siły strwonił i nadużył,
nic nie postawił, chociaż wszystko zburzył,

jak wyrazem głębokiego przekonania, że nie będzie w Polsce lepiej, póki na życiu jej nie wycisną napowrót piętna wiary ci wszyscy, co w młodej inteligencji uchodzić słusznie mogą za odrodzeńców w Chrystusie; jak wyrazem niepłonnej nadziei, że „okopami świętej Trójcy”, uwieńczonemi zwycięstwem Galilejczyka, w walce z wszelakiem pankractwem liberalizmu, materjalizmu i oportunizmu stanie się w łonie naszej inteligencji obóz młodych, walczących o triumf Chrystusa w życiu narodowem.

Dr. IGNACY CZUMA
Profesor Katolickiego Uniwersytetu
Lubelskiego.

Krytyka dziś panującej doktryny ustrojowej.[1]

I.

Podejście do zagadnienia stanowiska ustrojowego Głowy Państwa w ogólności wymaga przyjrzenia się wnikliwszego dwum (głównie) grupom zjawisk, a mianowicie stosowanemu przeciwstawieniu pojęć „monarchja — republika" oraz t. zw. „podziałowi władz". Jeśli uważnie rozpatrzeć pierwszą grupę, okaże się, że problemat t. zw. podziału władz jest już właściwie (jak sądzę) rozwiązany, dlatego też stopniowo traktuję obie grupy zjawisk łącznie.

Jest rzeczą dość charakterystyczną, iż jeden ze współczesnych (przed dwoma laty zmarły) najwybitniejszych prawników-znawców ustrojowych Leon Duguit, w swojem czterotomowem dziele[2] omawia zagadnienie monarchji i republiki (jako przeciwstawień) w jednym zaledwie paragrafie i jednego tomu (pomijając drobne ekskursje) i to pod nagłówkiem „o różnicy między rządzącymi i rządzonymi", nie zaś, jakby się należało spodziewać, o odróżnieniu monarchji i republiki. Konstrukcja Duguit'a jest dość prosta i przejrzysta. W społeczeństwie (sądzi ten pisarz) są słabi i silni, ten fakt tłumaczy genezę państwa i system ustrojowy. Tam, gdzie mamy do czynienia ze skupieniem całej siły, z jej zmonopolizowaniem w jednych rękach (władze cywilne i wojskowe a czasem i religijne, jak w Rosji carskiej), tam typ ustrojowy jest prosty i nieskomplikowany. Tak było, pisze Duguit, w Rosji do r. 1905, od tego zaś czasu nastąpiło załamanie się ustroju, który to proces podległ silnym wstrząsom w r. 1917. Monarchja abso-

[1] patrz artykuł w „Prądzie" z lipca — sierpnia b. r. str. 49 — 60
[2] Léon Duguit, *Traité de droit constitutionnel*, III éd. 1928

lutna jest zatem typem wyraźnym i jasnym. Zresztą inne formy monarchji wykazują wzajemne pomieszanie cech i trudność ścisłego wyodrębnienia (monarchja konstytucyjna) poza republikanizmem, co do którego sądzi Duguit, iż w nim siła rządzenia spoczywa w ilościowej większości obywateli.

Jeśli Duguit czyni zarzuty Esmein'owi,[1] iż ten ostatni nie może wyjaśnić natury mieszanej formy ustrojowej (monarchja konstytucyjna, monarchja parlamentarna) i kończy pytaniem pod adresem Esmein'a, jaką ma wartość teorja, która jest bezsilna w ujęciu formy ustrojowej wielkich państw współczesnych, poczem wyjaśnia ogólnie, iż ma się tu do czynienia z organizacją jurydyczną sił współpracujących (jednostka i elementy arystokratyczne i demokratyczne), to analogiczne zarzuty można postawić i samemu Duguit'owi. Skoro bowiem u podstawy zróżnicowania ustrojowego stawia podział rządzących i rządzonych, to sam problemat wyczerpania treści pojęć „rządzących i rządzonych" nie jest tak łatwą rzeczą, jakby to się na pozór wydawało. Zasługą Duguit'a pozostanie niewątpliwie m. in. krytyczne i ostrożne podejście do zagadnienia przez próbę sformułowania istoty „rządzących i rządzonych", w czem doszedł dość daleko naprzód w stosunku do starszej szkoły francuskiej (Esmein), upraszczającej sobie zadanie przez dość mechaniczne przyjmowanie postulatów i dystynkcyj Wielkiej rewolucji.

Całkowicie niezależnie od Duguit'a, Kelsen, także jedna z gwiazd pierwszej wielkości w świecie prawniczym współczesnym, znajduje trudności w znalezieniu ścisłego kryterjum, według którego te dwa typy ustrojowe należałoby odróżnić.[2] Kelsen poddaje w szczególności krytycznemu oświetleniu tę znaną powszechnie wysuwaną cechę odróżnienia: w monarchji najwyższa wola, najwyższa władza należy do jednego człowieka, do pojedyńczego organu, w republice zaś do mniejszej lub większej liczby osób (kolegjum), zatem do organu złożonego.[3] Stojąc na gruncie swojej

---

[1] Esmein, *Droit constitutionnel,* 8-e éd. (revue par Nézard) 1927

[2] Hans Kelsen, *Allgemeine Staatslehre,* Berlin 1925 s. 329

[3] „Monarchją nazywamy ustrój polityczny, w którym najwyższa władza państwowa znajduje się w ręku jednej osoby... republiką natomiast zwiemy

teorji o woli w znaczeniu prawnem i woli w znaczeniu fizyczno-psychicznem, Kelsen uważa, iż nie może tu być mowy o woli fizyczno-psychicznej. Pod względem zaś prawniczym należy rozumieć, iż „wola" monarchy nie może wywodzić się od innej woli, to znaczy normy. Przez najwyższą wolę i władzę tedy wypada rozumieć, iż monarcha (w danym razie) jest najwyższym autorytetem normodawczym, innemi słowy, produkcja norm najwyższego stopnia dokonuje się przez jednego człowieka. Ale nie da się to zastosować do t. zw. monarchji konstytucyjnej, w której najwyższym autorytetem normodawczym jest parlament z monarchą, zatem ciało zbiorowe.[1]

Już poprzednik tych dwóch prawników, głośny Jerzy Jellinek, znajdował wątpliwości i trudności w próbach ścisłego wyróżnienia istoty monarchji i repupliki. I jeśli sam ucieka się do definicyj i określeń, to z wywodów jego, długich i obszernych, można wysnuć wniosek, iż nie jest dość pewny danego rozwiązania. Sprawdzianami podziału państwa na te dwie kategorje (monarchja i republika) są według niego wola fizyczna oraz wola prawna, wynikająca z fizycznej woli w drodze zastosowania pewnych norm prawnych, w sposób przewidziany konstytucją.[2] Monarchją tedy jest państwo, pozostające pod wodzą fizycznej woli, najwyższej i od żadnej innej woli niepochodnej,[3] natomiast istota republiki i dziś jeszcze da się określić, jako negacja kierownictwa państwem przez jedną osobę fizyczną.[4] Naogół jednak republika graniczyć może z monarchją, pod względem politycznym mogą być przejścia między jedną a drugą i tylko krańcowe formy tych typów wykazują wyraźne przeciwieństwa.[5] W zesta-

---

taki ustrój polityczny, w którym najwyższa władza państwowa znajduje się w ręku pewnego kolegjum, a więc jest władzą kolegjalną, nie zaś demokratyczną". Antoni Peretiatkowicz, *Państwo współczesne*, Lwów—Warszawa 1928 s. 35

[1] Hans Kelsen, op. c. s. 329, 330

[2] Jerzy Jellinek, *Ogólna nauka o państwie* (tłum. polskie prof. Peretiakowicza) Warszawa 1921, s. 524

[3] Jerzy Jellinek, op. c. s. 527

[4] Jerzy Jellinek, op. c. s. 567

[5] Jerzy Jellinek, op. c. s. 569

wieniu zaś z rozwiniętą budową dzisiejszej monarchji konstytucyjnej, nauka o monarsze, jednoczącym w sobie wszelkie prawa władzy państwowej, nie przedstawia już żadnej realnej wartości, a raczej stała się fikcją, niezgodną z rzeczywistością prawnego stanu obecnego.[1] Raczej tedy idzie o ośrodki władzy, o centra, ogniskujące życie wielkiej jedności, jaką jest państwo. Czy ma być jedno centrum, czy więcej? Na to odpowiada Jellinek stanowczo: wszelkie życie może w państwie jednolitem wychodzić z jednego tylko ośrodka. Gdyby możliwem było w żywej jedności, jaką jest państwo, wytworzyć kilka takich różnych pod względem znaczenia ośrodków, wówczas rezultatem takich poczynań musiałaby być w końcu anarchja.[2] Stąd wniosek, iż w rzeczywistości mamy zawsze do czynienia z jednym ośrodkiem. Wiemy, iż w t. zw. monarchji absolutnej centrem tem jest monarcha. A w konstytucyjnej, a w republice? I znowu da nam Jellinek bardzo ciekawą diagnozę. Stosunek obu organów bezpośrednich (monarcha lub prezydent i parlament) mieści w sobie à priori trzy polityczne możliwości: przewagę monarchy, przewagę parlamentu, wreszcie równowagę obydwu. Ostatni stan jest pod względem politycznym najmniej prawdopodobny, ponieważ społeczne stosunki władzy, będące podstawą stosunków politycznych, bardzo rzadko, a i wówczas napewno tylko przejściowo, układają się tak, by możliwą była równowaga pomiędzy obu stałemi czynnikami politycznemi. Na tym nieprawdopodobnym fakcie, pisze Jellinek, opiera się nauka Bolinbroke'a, Swifta i Montesquieu'go o równowadze władz.[3] Tak tedy we Francji tem centrem jest parlament i zależne odeń ministerjum, które każdego czasu, w razie votum nieufności izby posłów, może być zwolnione.[4] Tak samo w Stanach Zjednoczonych, mimo pozory, prezydent nie jest organem, wprowadzającym w ruch państwo. Amerykańskie impeachment podniesione być może nie

---

[1] Jerzy Jellinek, op. c. s. 535
[2] Jerzy Jellinek, op. c. s. 540
[3] Jellinek, op. c. s. 562
[4] Jellinek, op. c. s. 591

tylko z powodu naruszeń prawa, lecz także z powodu politycznego zachowania się prezydenta, stąd silny środek legislatywy, by w walce z władzą wykonawczą okazać się organem silniejszym, mimo wszelkiej teorji.[1]

II.

Koło jakiego tedy punktu decydującego zatrzymuje się rozróżnienie monarcji od republiki?

Z wywodów trzech prawników światowej sławy, przytoczonych w krótkości, da się wyłuskać kilka istotnych problemów. „Wola fizyczna" i jej przeciwstawienie „wola prawna" (dystynkcja Jellinka, udoskonalona przez Kelsena), dają nam w rezultacie rozróżnienie organu jednoosobowego i wieloosobowego, traktowanych pod kątem widzenia pytania, która z nich lub raczej który z nich w znaczeniu prawnem ma ostatnie słowo w ustroju i życiu państwa. Widzieliśmy, iż w związku z tem wyrasta nowe zagadnienie a raczej tamto się przeobraża w problem możliwości dwóch lub więcej ośrodków ustrojowych równych sobie. Do kogo należy ostatnie słowo, ten jest centrem, ogniskującem jedność państwową. Dystynkcje drugorzędnego znaczenia odpadają na bok wobec pierwszorzędnego dylematu: czy organ jednoosobowy, czy organ wieloosobowy? Pozostaje nam tedy na uboczu kwestja, interesująca zresztą niezmiernie, a mianowicie ta lub inna odległość związku pochodności jednego lub drugiego organu od t. zw. woli powszechnej, woli narodu, narodu wogóle. Wiadomo bowiem, że w sposób najbardziej bezpośredni (z woli najszerszej masy narodu) może wyróść t. zw. monarchja absolutna, a w bardzo pośredni — organizacja najbardziej republikańska. W pierwszym wypadku nawet na całe pokolenia i stulecia, w drugim może tylko na miesiące, lata.

Rzeczą najistotniejszą w powodzi wysuwanych cech, rozróżnień i t. d. w zakresie ustrojowym, to właśnie kwestja jednoosobowości czy wieloosobowości organu, mającego, że się wyrażę nie-prawniczo, choć wyraźnie, ostatnie słowo w zakresie ustrojo-

[1] Jellinek, op. c. s. 590, 591

wym, będącego centrem ogniskującem jedność państwa. Postulat „równowagi" władz jest z tego punktu widzenia nieistotny i chybiony, jak również nieistotnem będzie zepchnięcie dyskusji na tory bezpośredniości lub pośredniości woli ludu w formowaniu organów państwa. T. zw. postulaty demokratyczne zmierzają, jak wiemy, do „równowagi" władz. Tymczasem pisarze-prawnicy, oświadczający się za tą równowagą władz, stwierdzając z jednej strony, iż „zagadnienie silnego ustroju polega także i na równowadze funkcji władz państwowych, a nie hipertrofji jednych, a zupełnem osłabieniu drugich", zaraz jednak wyznają, iż „należy pamiętać, że jeżeli się już ma koniecznie przyznać komuś wyższość i pierwszeństwo, to trzeba je przyznać legislatywie, gdyż ona jest najwyższym wyrazem woli suwerena i ona określa zakres działania egzekutywy i ustrój jej organów, a nie odwrotnie.[1]

Zdawałoby się, że idzie w ostatnim wypadku o bliższość stosunku legislatywy do suwerena t. zn. woli ludu przez akt głosowania, tymczasem skądinąd dowiemy się, że wcale inne materje decydują w tym względzie. Powie nam to w sposób rozbrajająco szczery poseł Czapiński, przy sposobności sprzeciwienia się wnioskowi o wybór Prezydenta w drodze plebiscytu. „Mamy pewne zastrzeżenia (mówi poseł Czapiński) przeciw temu projektowi z tego względu, że nie chcielibyśmy mimo wszystko stwarzać zbyt wyjątkowej pozycji dla prezydenta Rplitej Polskiej. Człowiek, który wyszedł z wyborów bezpośrednich, mógłby się powoływać na cały autorytet, jaki nadał mu wybór przez cały lud i mógłby być zbyt niezależny wobec demokracji polskiej, reprezentowanej w Sejmie, i demokracji polskiej wogóle".[2]

---

[1] Dr. Stanisław Starzyński, *O dążeniach do reformy w niektórych państwach* (Ruch prawniczy, ekon. i socjol. Poznań 1930, zeszyt II, s. 338—339).

Ten zwrot znowu dość trudno pogodzić z następującą opinją prof. Starzyńskiego niżej na s. 344: „Zgadzam się zupełnie z p. Sitnickim co do tego, że Głowa Państwa w ścisłem tego słowa znaczeniu powinna być „wierzchołkiem piramidy państwowej", a nie „cząstką organu drugorzędnego" oraz, by Głowa Państwa znalazła w niej miejsce w punkcie wierzchołkowym, nie w jednej płaszczyźnie poziomej z dwoma innemi rodzajami organów, a do tego „łącznie z ministrami".

[2] Dr. Wacław Komarnicki, *Polskie prawo polityczne*, Warszawa 1922, cytuje ów ustęp przemówienia na s. 244 (odnośnik [2]).

Poseł Czapiński, świadomie lub nieświadomie, dojrzał niebezpieczeństwo dla prymatu ustrojowego ciała wieloosobowego, które powstanie w razie wyboru Prezydenta przez plebiscyt. Ponieważ bowiem dzisiejsze popularne teorje wiążą silną władzę lub przewagę organu państwowego jednego nad drugim, powołując się na bezpośrednie pochodzenie z woli ludu, zatem, by jedna popularna teorja nie zwyciężyła drugiej popularnej, należy nie dopuścić do życiowego starcia obydwóch, wykluczając bezpośredniość wyboru Prezydenta i stwarzając tem samem dodatkowe wzmocnienie popularnej teorji o wyższości legislatywy nad egzekutywą, z powodu bezpośredniości pochodzenia pierwszej.[1]

Stanowisko posła Czapińskiego jest tak typowym wyrazem całej dzisiejszej filozofji o stosunku monarchji i republiki, i o „równowadze" władz w jej ujęciu, maskującem przewagę legislatywy i rezerwowanie centrum ogniskującego dla parlamentu, tak, jak z innej strony, tę samą filozofję uzasadnia w sposób naukowy prof. Starzyński, iż zatrzymując się na tych wynurzeniach a w związku z rozważaniami Jellinka, Kelsena i Duguit'a, można czynić próby określonych uogólnień.

Atrybuty drugorzędne i mniej znaczące nie stanowią istotnego kryterjum rozróżnienia monarchji i republiki. Król konstytucyjny może stanowić i stanowi często dekorację dla właściwego centrum ogniskującego, jakiem jest parlament czyli ciało wieloosobowe. Ale może być i odwrotnie, chociaż nawet przykład Stanów Zjedn. A. P. jest tu niewystarczający. Dowiedzieliśmy się, że centralność pozycji nie zależy od tej lub innej odległości i związku z wolą ludu, lecz wypływa z filozofji o potrzebie prymatu organu wieloosobowego nad jednoosobowym. Państwo musi mieć swój ośrodek, wokół którego skupiają się fragmenty organizacyjne, w przeciwnym razie rzecz zmierza do anarchji. Wobec olbrzymiej różnorodności szczegółów ważnych, lecz drugorzędnego znaczenia (np. dziedziczność funkcji, korono-

---

[1] „Z idealnej teorji o równowadze i wzajemnej kontroli rodzi się autokracja wielogłowa i gwałcenie mniejszości" pisze W. L. Jaworski w swoim *Projekcie konstytucji*. Kraków 1928 s. 56

wanie i t. d.), wobec istotnego zagadnienia prymatu ustrojowego organu jednoosobowego lub wieloosobowego, dzisiejsze rozróżnienie monarchji od republiki natrafia na poważne przeszkody w zakresie ścisłości swojego sformułowania. Tłumaczę to przewagą w nauce i polityce doktryny o prymacie wieloosobowego organu nad jednoosobowym, doktryny, występującej pod maską pozornej „równowagi" władz, doktryny, której zwycięstwo dokonało się, jak sądzę, dzięki pewnym nieporozumieniom.

Jakim?

Spróbuję je wyliczyć.

Ustrój o prymacie jednoosobowego organu przeszedł głęboki kryzys głównie skutkiem rewolucji francuskiej. Rozrastające się państwo, komplikacje stosunków społecznych unaoczniły słabą stronę dotychczasowego ustroju, wyrażającą się w tem, iż zasada: król to wszystko,—państwo, to ja, nie uległa reformie, wskazanej warunkami życia. Jednoosobowy organ, zakańczający budowę państwową, tak, jak zrzekł się dla wielości stosunków prawa osobistego sądzenia, tak winien był zrzec się innych funkcyj, pozostając ostrem zakończeniem piramidy ustroju państwowego. Poprostu należało przedłużyć ramię w sposób, gwarantujący ludzką doskonałość organizacji życia państwowego i wciągać coraz szersze warstwy w maszynę organizacyjną państwa. Pomijam błędy tego lub innego okresu czy panowania. Ponieważ zmiana konieczna nie nastąpiła ewolucyjnie, wybuchła rewolucja pojęć, rozumowania, no i.. stosunków państwowych. Prymat jednoosobowego organu uznano jako z zasady krzywdzący, archaiczny, lamusowy poprostu sprzęt. Na jego miejsce powstała teorja o wieloosobowym organie jako najwyższym, wciągającym masy społeczeństwa w wir organizacji i życia państwowego, tem samem też bardziej sprawiedliwym, celowym i t. d. Do jakiego jednak stopnia filozofja ta nie czuje się sama zbyt mocną, tego dowodzi cała teorja o „równowadze władz", istnienie monarchij konstytucyjnych, próby wyposażenia Prezydenta państwa w dość szerokie atrybucje (np. Stany Zjednoczone) i t. d. Daje to dość wyraźną opinję o filozoficznej sile zasady ustrojowej prymatu ustrojowego ciała wielogłowego.

Nieporozumienia, które leżały u podstaw przemiany światopoglądu ustrojowego, dokonywującej się w klasyczny sposób przez rewolucję francuską, są pomnażane przez inne. Prymat jednoosobowego organu, jako postulat dziś wysuwany, natrafia na kilka przeszkód myślowych. I tak, uważa się, że oznacza to odsunięcie szerokich warstw od udziału w funkcjach publicznych,[1] że oznacza to wprowadzenie warunków przejawów samowoli dla organu jednoosobowego, że załamie się podstawa teorji o woli ludu, jako źródle władzy, źródle ostatecznem i najwyższem, że zniknie odpowiedzialność i t. d., że wcześniej lub później wróci „Król" z pochlebcami, kamarylą, intrygami i t. d., lub „cesarz" (bonapartyzm) — efemeryda i t. d. Nie mam zamiaru wyliczać wszystkich zarzutów, które się podnosi, wymienione uważam za istotne i wobec tego wystarczające. Odsunięcie szerokich warstw od udziału w funkcjach, jeśli było błędem w wieku XIX, to tem większym błędem, wprost niemożliwością, byłoby dziś. I wcale nie dlatego, żeby oznaczało to chęć

[1] Na takiem nieporozumieniu opierają się następujące wywody z przemówienia posła M. Niedziałkowskiego, wygłoszonego na posiedzeniu Komisji Konstytucyjnej Sejmu w dniu 11 stycznia 1930 (stenogram referatów, drukowany jako rękopis). „Według mego przekonania jednym z największych argumentów dla nas rozstrzygających na rzecz demokracji parlamentarnej jest to, że ona jedynie w dzisiejszych warunkach (warunki mogą się zmienić) stwarza możliwość tego procesu przywiązania do Państwa mas przez tysiące najrozmaitszych rzeczy i drobnych i wielkich (s. 9)... Dla mnie pytanie główne, tak samo jak i dla moich kolegów z punktu widzenia naszego stosunku do Państwa Polskiego polega na tem, czy to, co proponuje klub B. B., czy wszelkie jakiekolwiekbądź inne formy, które mogłyby być zaproponowane, ograniczenia demokracji parlamentarnej zbliżają masy do odpowiedzialności za państwo, czy też robią odpowiedzialność za państwo monopolem takiej czy innej grupy niepolitycznej, ale powiedzmy grupy dygnitarzy, albo grupy społecznie uprzywilejowanej, jeżeli chodzi o projekt cofnięcia ustroju Polski wstecz w kierunku przywilejów klasowych, czy innych, czy też tego rodzaju, który prowadziłby do odepchnięcia mas od odpowiedzialności" (s. 10).

Że przy prymacie kolegjum odpowiedzialność za państwo jest głównie monopolem takiej czy innej grupy politycznej, to oczywiście usuwa się z pola uwagi, że kwestja szerokiego wciągnięcia mas do odpowiedzialności za państwo jest kwestją najzupełniej odrębną, niezależnie od tego, czy zakańcza ustrój wierzchołek czy pozioma linja (kolegjum), o tem niestety zapomina się. Stąd te ciężkie nieporozumienia i przerzucania się od despocji jednoosobowego organu do despocji organu kolegjalnego.

przypodobania się tej lub innej popularnej teorji, ale poprostu dlatego, że rozwój społeczny byłby nie do pomyślenia bez umiejętnego i najszerszego wciągania w wir funkcyj publicznych szerokich warstw. Idzie o piramidę, a nie o jeden punkt. Cypel piramidy jest tym właśnie zakończeniem budowy o bardzo szerokich i rozwijających się ku wierzchołkowi podstawach i warstwach piramidy. Zarzut drugi o możliwościach samowoli nie może być mniejszym w stosunku do wieloosobowego organu, aniżeli w stosunku do jednoosobowego, lecz wprost odwrotnie. Wieloosobowe ciało jest nieodpowiedzialne prawnie i to w sposób nad wyraz drastyczny. Kwestja odpowiedzialności prawnej i moralnej jest odrębnem zagadnieniem i zawsze w każdym ustroju wierzchołkowy punkt (jedna osoba lub wiele osób) musi mieć szeroką strefę odpowiedzialności moralnej, poza prawną zredukowaną do jej niewielu elementów i związaną z tem kontrolą. Co innego zaś odpowiedzialność dalszych organów podporządkowanych, drugorzędnych — ta musi pozostać w rozmiarach możliwie najszerszych i wystarczających (stąd też nawoływania do zorganizowania kontroli). O woli ludu i jej związkach bezpośredniości i pośredniości pisałem wyżej. Okazuje się, że wcale nie ten punkt jest istotnym dla dzisiaj panującej teorji, lecz zagadnienie prymatu organu wieloosobowego. Teorja o ostatecznem źródle władzy i prawa w ludzie jest na wskroś pogańską i właśnie ona uświęca każdą tyranję i despocję, jeśli tylko ta ostatnia może się wykazać pozorami preparatu woli ludu. Nazwa „król", „cesarz" wzbudza obok podziwu bojaźń i lęk. Wskazałem, że mimo pozory jaskrawe i często ważne cechy, lecz drugorzędnego znaczenia, istotną jest treść nie nazwa.[1]

---

[1] W *Projekcie Konstytucji* pisze W. L. Jaworski: „Gdyby Państwo Polskie było monarchją, wystarczyłoby zmienić w art. 1 wyraz „Prezydent Rptej" na „król", w następstwie zaś zamiast artykułów, mówiących o wyborze, umieścić postanowienia o dziedziczeniu tronu. Kto stoi na stanowisku, że państwo jest urzeczywistnieniem porządku prawnego, ten organowi uposażonemu w używanie środków przymusowych nie może dać innej władzy ze względu na to, że ten organ jest wybieranym, względnie dziedzicznym. Władza jest w jednym i drugim przypadku jednakowa, jest jedna i niepodzielna". Op. c. s. 33

Co się tyczy działania organu jednoosobowego i roli doradców, dwo-

Kiedy mówi się o „równowadze” władz, dwa jej znaczenia wypada mieć zawsze na widoku. Pierwsze wypływa ze związania dwóch słów, a mianowicie „równy” i „waga” i kieruje się do „równoważności”. Organy są „równie ważne”, walor ich jest jednakowego ciężaru, stąd przy „podziale władz” usiłuje się wysunąć przekonanie o „równoważności” tych organów, ich niezależności i t. d. Widzieliśmy wyżej, iż w gruncie rzeczy pod tą niezbyt ugruntowaną filozofją kryje się tuż zaraz filozofja o prymacie ciała wieloosobowego. Natomiast zupełnie inne znaczenie posiada słowo „równowaga”, jeśli rozumie się przez nią utrzymanie wielości fragmentów w ich różnem, lecz symetrycznem ustosunkowaniu, gwarantującem utrzymanie tej skomplikowanej może nad wyraz budowy w stanie „równowagi”. Sama budowa może przedstawiać różne typy rozmieszczenia swych części, ich wzajemnego ustosunkowania, a jednak sens w tem, by utrzymała „równowagę”, jak dom, piramida, i t. d. Otóż w systemie ustrojowym kwestją pierwszorzędnego waloru jest kwestja właśnie takiej „równowagi”, nie „władz” oczywiście, lecz funkcyj, polegającej na wygodnem i celowem ustosunkowaniu poszczególnych organów w ich wielości, w ich różnej hierarchicznie ważności. Ale tego nie należy mieszać ze znaczeniem, którego fundament dała powszechnie znana t.zw. teorja Monteskiusza o podziale władz i ich rzekomej „równowadze”, w gruncie rzeczy przesuwająca zakończenie budowy ustrojowej z wierzchołka (organ jednoosobowy) do ściętej powierzchni (organ wieloosobowy).

III.

Dzisiejszy kryzys ustrojowy tłumaczę sobie, między innemi, dwoma (głównie) względami.

Pierwszym jest naturalna tendencja do sfinalizowania filozofji o prymacie wieloosobowego ciała w systemie ustrojowym,

---

raków, to dosadnie pisze o tem gorący republikanin Jerzy Clemenceau: „Monarcha orzeka na zasadzie swoich doradców; natomiast demokracja parlamentarna decyduje na podstawie hałaśliwości sprzecznych poglądów, co nie przyczynia się bynajmniej do utrzymania równowagi” *Blaski i nędze zwycięstwa*, tłum. polskie 1930 s. 127

do postawienia, jak się to mówi popularnie, kropki nad „i". Reformy konstytucyjne szeregu państw (głównie nowych lub reorganizujących się po wojnie) wykazują tendencje do konsekwentnego doprowadzenia do końca rozpoczętej i kontynuowanej w wieku XIX rzeczy.[1] Okazało się jednak (jak np. w Austrji, gdzie podobno Kelsen współdziałał w dojściu do skutku formuł konstytucji), że konsekwentne pójście rozpoczętą drogą kończy się poprostu absurdem. Zaczem pojawiły się usiłowania odwrotu (Austrja, Polska). Ten odwrót najeżony jest ogromnemi trudnościami, wypływającemi głównie z tego powodu, że rozsądnemu rozwiązaniu problemu stoi na przeszkodzie strach przed... absolutyzmem monarszym XVIII w. Te reminiscencje historyczne, dostatecznie przykre, a powodujące lęk przed despocją jednoosobowego organu, hamują kształtowanie się rozsądnego i zdrowego poglądu na sprawę i na skutek rezygnacji najczęściej doprowadzają do godzenia się z upiorem despocji organu wieloosobowego.

Faktyczna strona politycznego przebiegu wypadków głównie w Europie w tej dziedzinie jest wszystkim znana i dlatego nie mam zamiaru jej poruszać.

---

[1] Prof. Stanisław Starzyński, pierwszorzędny znawca w tej materji, po przedstawieniu szczegółów powojennego ustroju państw europejskich do takiej dochodzi konkluzji: „Dążnością dzisiejszych czasów jest nietylko daleko idące zdemokratyzowanie republikańskiej formy ustrojowej, ale jej zupełne sparlamentaryzowanie, a co więcej, nawet przekształcenie jej w republikę napół bezpośrednią, t. j. taką, w której niema ciała reprezentacyjnego i w której ogół obywateli wyborców spełnia bezpośrednio czynność ustawodawczą i kontrolę administracji na zgromadzeniach i wiecach ludowych. Ten ostatni ogólny rys zaznacza się najwyraźniej w omawianem wyżej odwoływaniu sejmów przez naród, w referendum ustawodawczem, inicjatywie ludowej, w bezpośrednim udziale różnych gospodarczych, a nie parlamentarnych organizacyj i czynników w ustawodawstwie, jednem słowem, w tem wszystkiem, co czyni ciało reprezentacyjne, a zatem i formę reprezentacyjną, czyli republikę, pośrednio zbędną, a zbliża ją do typu republiki bezpośredniej, względnie ją w tym kierunku przekształca". (*Powojenny ustrój państw europejskich.* Kraków 1924 s. 22

W studjum *O dążeniach do reformy ustroju w niektórych państwach a zwłaszcza w Polsce* (Ruch prawniczy, ekon. socj. Poznań 1930 I i II zeszyt) Prof. Starzyński wysuwa opinję (o powyższych zmianach), iż ustrój, jaki sobie może zbyt dorywczo, albo zbyt pod jednostronnym punktem widzenia nadały, okazał się wadliwym lub niedostatecznym (s. 123)

Drugi wzgląd niewyodrębniony z pierwszego powoduje chaos pojęć i tendencyj. Stosunki XVIII w. powinny były ulec zmianie, oczywiście nie w tem znaczeniu, by postawić szafot i rozlewać potoki krwi od królewskiej począwszy, lecz w kierunku nakładania obowiązków i uprawnień szeregu funkcyj publicznych na dalsze warstwy ludności. Im bardziej komplikuje się życie społeczne, tem więcej należy myśleć nad systemem życia tej komplikacji. Zadanie uproszczono sobie we Francji w sposób nad wyraz okrutny i swywolny, dopuszczając konwulsję drgawek ustrojowych od szafotu króla do cesarstwa, restauracji, republiki, znowu cesarstwa i t. d. Dziś jesteśmy w obliczu dalszej fali komplikacji społecznej. Trzeba jej stawić czoło i powoli, przenikając elementy niezwykle złożone, niezwykle zazębiające się, dobudowywać potrzebne fragmenty organizacyjno-ustrojowe, tak, by zapanowała względna i nowa równowaga organizacyjna, by ośrodki społeczne, krystalizujące się dość już wyraźnie, znalazły swoją formę, potrzebną do ich rozwoju i rozwoju całości.

Zaznaczyłem, iż ten wzgląd, który winien otrzymać swoje rozwiązanie ustrojowo - organizacyjne w państwie, miesza się z pierwszym. Słyszymy lub czytamy często, iż np. wzmocnienie władzy Prezydenta oznacza zmniejszenie praw ludu, który, aby państwo mogło się rozwijać, musi mieć „współudział w rządach". Oczywiście, jest w tej argumentacji pokaźne źdźbło prawdy, wyjaśniającej potrzebę szerokiego wciągania w wir funkcyj państwowych licznych warstw społecznych. Ale równocześnie wysuwa się wtedy widmo absolutyzmu XVIII w., w którym udział w funkcjach państwowych zredukowany był do niewielkiej sfery osób i warstw, co jakoby grozić ma i dziś.

Jeżeli te podjęte przezemnie dwa względy, wpływające na potęgowanie się dzisiejszego kryzysu ustrojowego, będziemy utrzymywać w pamięci izolowane, wyodrębnione, każdemu z nich przeznaczając dość wiele uwagi, jak na to w pełni zasługują, wtedy rozwiązywanie zagadnienia ustrojowego uzyska wstępny, ale niezbędny warunek wyjaśnienia terenu rozważań i zadania wogóle.

I dlatego dziś w Polsce o tych dwóch kwestjach należy ciągle pamiętać. Nawet gdybyśmy mieli bardzo silny ustrój

(a mamy dość słaby) według typu budowy dotychczasowej, trudnościby nie zniknęły. T. zw. rząd silny, według modły dotąd znanej, nie rozwiąże trudności, gdyż aparat, który przedstawia ze siebie ten ustrój jest niewystarczający, by wciągnąć masy w ramy rzetelnej, ścisłej i owocnej pracy w dziedzinie funkcyj publicznych. Nie może tego dać parlament, nie może tego dać dzisiejszy ustrój samorządu terytorjalnego. Nie twierdzę, że są to fragmenty zbędne, tylko, jako wyłączne w swojej dziedzinie, nie wystarczają przy tej komplikacji zjawisk, przy tak wysokiej potrzebie racjonalizacji ustrojowej. Wprowadzenie rozbudowy ustrojowej u dołu i w średnich warstwach ustrojowych nie rozwiąże także zagadnienia, które wymaga stanowczej odpowiedzi co do treści zakończenia piramidy, a więc, czy ma być punkt czy ścięta powierzchnia, czy budowę ma zakończyć jednoosobowy organ czy wieloosobowy.

W rozważaniach niniejszych interesuje nas tylko kwestja zakończenia u góry budowy ustrojowej państwa, pomijam natomiast rozpatrywanie pośrednich czy dolnych warstw organizacyjnych. Wspomniałem jednak o nich, bo w dyskusji na temat pierwszy, często miesza się motywy zagadnienia drugiego, zamiast żeby je wyodrębnić, izolować, ale i ciągle o nich pamiętać.

IV.

Temat, który podjąłem, oświetlił niedawno w sposób imponujący profesor prawa publicznego w Nancy George Renard, w swojem wyjątkowo zapładniającem i oryginalnem studjum.[1] A warto przypomnieć na wstępie wynurzenie Renarda, iż uważa się za republikanina i demokratę, niegorszego od jakiegokolwiek innego.[2] Już w dawniejszej pracy Renarda z r. 1925[3] wykłuwały się stopniowo i powoli ziarna analizy, które osiągnęły tak piękny wyraz w jego „Teorji instytucji".

---

[1] George Renard, *La Théorie de l'Institution. Essai d'ontologie juridique.* I vol. Partie juridique, Paris 1930 s. 639

[2] George Renard, op. c. s. 564

[3] George Renard, *Souveraineté et parlamentarisme* (La Cité moderne et les Trens formations du droit) 1925, s. 86—125

Pisząc wtedy o „trójpodziale władz" Renard zauważa, iż rewolucja utrwaliła przekonanie, iż parlament zachowuje suwerenność w całej swojej pełności z racji bezpośredniego pochodzenia od ludu. Co się tyczy „władzy sądowej" wprowadzono ją do „trójpodziału" w roli biednego krewnego. „Władza" ta bowiem nie dyskutuje, lecz wyłącznie dostosowuje ustawy do konkretnych sytuacyj. Z parlamentu wypływa władza wykonawcza, posiadająca tylko autonomję, coprawda ściśle ograniczoną. Demokracja nie jest rządem ludu przez lud. Już w tem miejscu Renard chwieje teorją trójpodziału. W „teorji instytucji" ten wybitny pisarz filozof-prawnik nie pozostawia nas dłużej w niepewności. Oto sens jego argumentacji. Równość między t. zw. „władzami" jest nie do urzeczywistnienia. Jeżeli równość jest niemożliwą w prostem gospodarstwie domowem, jakżeż może się dać zrealizować w rządzeniu państwem. Niema organizacji bez zróżnicowania. Zróżnicowanie zaś „władz", to nie podział kompetencji między niemi, lecz uszeregowanie ich według porządku uprawnień. Za tem mówi rozum i proste doświadczenie. Równość „władz" jest chimerą konstytucji. Nawet, jeżeli przewaga jednej „władzy" nad drugą nie jest zawczasu przewidziana i unormowana, wytworzy się i tak empirycznie. Rozum domaga się gradacji „władz". Zasada organizacji państwa winna oczywiście wypływać z jego celowości. Przedewszystkiem jednak musi być centrum racjonalnej organizacji państwa. Ani jednak struktura ciał deliberujących, ani sądowych, nie nadaje się w tym kierunku jako podstawa zorganizowania tego centrum. Jedne i drugie (legislatywa, sądownictwo) mogą być współpracującemi z „władzą wykonawczą", lecz ta współpraca zasadza się w istocie swojej na kontroli a należy pamiętać, że postęp demokratyczny upatruje się słusznie we wzroście tej kontroli.[1] Można się spodziewać, iż wzrost ten będzie wielki,

[1] Zwracam uprzejmie uwagę czytelników polskich, iż teorja Renarda pokrywa się prawie z teorją Jaworskiego. Obydwie zaś kształtowały się w umysłowości tych znakomitych myślicieli zupełnie niezależnie. W. Z. Jaworski już w r. 1927 przedstawił w swoim „Projekcie konstytucji" zarys nowej teorji ustrojowej, Renard zaś dowiedział się o osobie prof. Jaworskiego z mojej z nim korespondencji, i to już po wydaniu „Teorji instytucji", bo dopiero na wiosnę 1930

lecz zupełnie inną jest kwestją wykonywanie suwerenności. To ostatnie oznacza rządzenie, a rządzenie to przedewszystkiem nie deliberowanie i sądzenie, lecz działanie. Ta podstawowa konieczność działania pociąga za sobą postawienie „władzy wykonawczej” na pierwsze miejsce, z równoczesnem dostosowaniem pozostałych „władz” (legislatywa i sądownictwo) do ich misji kontrolującej egzekutywę. Naturalnie, iż takie stanowisko oznacza oddalenie się od popularnej trylogji Monteskiusza. Renard nie waha się oświadczyć za prymatem „władzy wykonawczej”. Argumenty, które przytacza, są jasne dla każdego nieuprzedzonego umysłu. W czasie kryzysu około „władzy wykonawczej” skupiają się inne. Ona działa ciągle, ona reprezentuje i prowadzi sprawy zagraniczne i t. d. Doświadczenie przytem historyczne uczy, iż ciała deliberujące miały zadania najpierw kontrolujące, a mianowicie uchwalanie podatków, a nie prawodawcze. Te ostatnie bowiem stanowią rozszerzenie władzy kontrolującej.[1]

Renard słusznie przypomina, przed całością argumentacji, co dopiero zaprodukowanej, iż wszelka filozofja racjonalizacji jest metafizyką porządku. Porządek zaś jest gradacją.

Że głos Renarda nie jest odosobniony w zakresie usuwania iluzji o „równowadze” i obecnie panującym „trójpodziale władz”, tego dowodem jest choćby między innemi głos belgijskiego prawnika Henri de Page'a, w jego znanem dwutomowem studjum.[2] Podział władz, pisze, jest martwą literą. Władza wykonawcza i sądowa różnią się oczywiście od władzy prawodawczej, lecz funkcja dwóch pierwszych redukuje się do wykonywania woli legislatywy, „à être ses sujets”.[3]

Wysunąłem tych dwóch prawników-cudzoziemców,[4] by tem

---

[1] Renard, *La Théorie de l'Institution* s. 562—567

[2] Henri de Page, *De l'interpretation des lois*. Bruxelles — Paris 1925

[3] Henri de Page, op. c. tom I, s. 117

[4] Ostrożnie podejmuje się także krytyki Juljus Hatschek w *Einleitung in das öffentliche Recht*, Leipzig 1926, pisząc na s. 49: „Diese Lehre von der Gewaltenteilung hat Widerspruch erfahren. Man wirft ihr nicht mit Unrecht vor, dass sie die notwendig einheitliche Staatsgewalt aufteile, während es doch nur zulässig sei, die Staatsfunktionen voneinander zu sondern, insbesondere Justiz von Verwaltung”.

jaśniej wystąpiła cała oryginalność, głębokość i przenikliwość teorji, powstałej w Polsce, teorji przynoszącej prawdziwy zaszczyt naszej nauce. Jest nią doktryna prof. W. L. Jaworskiego, wyłożona przy sposobności pisania przez jej Autora wspominanego przezemnie i znanego „Projektu konstytucji".

Władza jest jedną i niepodzielną — taki punkt wyjścia przyjmuje prof. W. L. Jaworski. Mieć władzę to znaczy, mieć możność użycia środków przymusowych. Ani legislatywa, ani sądownictwo nie mają władzy w tem znaczeniu, żeby mogły używać środków przymusowych. Oczywistem to jest co do legislatywy, ale zgodzi się na ten pogląd (pisze Jaworski) także co do sądownictwa każdy, kto uprzytomni sobie, że działalność sądów polega na wydawaniu wyroków, a egzekucja ich może być organizacyjno-technicznie związana z sądami, ale może być oddana innym organom, co do których nie ulegałoby już wątpliwości, że nie są sądami. Parlament nie jest władzą i nie posiada władzy (oczywiście władzy w znaczeniu prawniczem, nie zaś np. psychologicznem), gdyż nie może używać środków przymusowych, a uchwalane przez niego ustawy nie są rozkazami wzgl. nakazami, któremi stają się dopiero przez podpis Głowy Państwa i publikacje. Czemże tedy jest parlament? Jest organem kontroli nad rządem, przyczem kontrola ta może być następną i wstępną. Przez wstępną zaś kontrolę rozumieć należy uchwalanie ustaw, budżetu, to jest ustanawianie kryterjów, według których kontrola następna ma być wykonywana. Teorja podziału władz, niezawisłości władz, nie wytrzymuje prawniczej krytyki. T. zw. zatem legislatywa i sądownictwo nie są władzami, lecz kontrolą władzy. Władza należy do Głowy Państwa i rządu, jako jego narzędzia. Ta władza jest niepodzielną, chociaż kontrolowaną. Wiemy już, gdzie szukać tej kontroli. A jednak wykonywanie władzy nie może nie być przeniknięte przez moralność. Z tego powodu wprowadza Jaworski w „Projekcie" przepis, że w Państwie Polskiem działalność państwowa jest przeniknięta przez moralność Chrystusową („władzę wykonywa Prezydent wedle zasad moralności Chrystusowej i nie może być w tem żadną normą ograniczonym"). Ideą kierowniczą przy wyborze Prezydenta powinno być oparcie jego autorytetu

na jaknajszerszych masach, nie powinien zaś być wybierany przez grono, które stanowi organ kontrolujący władzę, Odpowiednio do tych podstaw rozbudowuje Jaworski uprawnienia Prezydenta, rządu i legislatywy. Wyjaśnia, iż teorja, według której naród jest źródłem władzy i teorja o podziale władz, odegrały swoją historyczną rolę, a teraz spotyka je los, jaki spotyka każdą teorję, obliczoną na idealne stosunki. Ani nie utrzymują (pisze) równowagi, ani nie tworzą wzajemnej kontroli. System rządów parlamentarnych skupia w jednem stronnictwie lub bloku stronnictw całą władzę, bo parlament tworzy rząd i wybiera Prezydenta, jest więc kontrolującym i zarazem kontrolowanym. Projekt oświadcza się za jednoosobowym organem, tem niemniej rozbudowuje bardzo szeroko całość piramidy ustrojowej w jej średnich i dolnych warstwach, tem się też tłumaczy szczególną troskliwość projektu w organizowaniu samorządu i sądownictwa administracyjnego.

MARJAN MANTEUFFEL
Warszawa.

Wewnętrzne niebezpieczeństwa, grożące gospodarstwu narodowemu.[1]

Znany ekonomista angielski, George Paish, zastanawiał się w swoim czasie na łamach jednego z pism holenderskich nad pytaniem, czy gospodarstwo świata — po niesłychanym wstrząsie, jakiego doznało na skutek wojny europejskiej — znajduje się już naprawdę na drodze do wyzdrowienia, czy w szczególności niebezpieczeństwo katastrofy międzynarodowego gospodarstwa kredytowego zostało już radykalnie usunięte?

Musimy sobie powiedzieć, że z chwilą wybuchu takiej wojny, jaką była w całym swoim przebiegu, a zwłaszcza w skutkach swoich, ostatnia wojna europejska, międzynarodowy system kredytowy narażony był na ogromne niebezpieczeństwo. Jeżeli, pomimo to, sprostał on gigantycznym wymogom tego bezprzykładnego w dziejach ludzkości okresu, jeżeli nawet, po pierwszych trudnościach, wywołanych samem wrażeniem wybuchu wojny, wśród najpotężniejszych państw ówczesnej Europy, zareagował w sposób niezwykle szybki na potrzeby narodów, które ową wojnę prowadziły, to dowodzi to jego wyjątkowej mocy, pierwszorzędnej organizacji i wielkiej elastyczności, czyli umiejętności stosowania się do warunków chwili bieżącej.

Przyszły dalsze lata, lata takie, jak rok 1920—1921, kiedy ceny towarów zachwiały się na rynkach w sposób niebywały, kiedy dezorganizować się jęły, jedna po drugiej, waluty większości państw Europy i to w sposób wprost katastrofalny, kiedy gospodarstwo świata ponosić zaczęło z tego tytułu nieobliczalne, podówczas w swych konsekwencjach, straty i szkody; przyszły czasy najokropniejszego zamieszania i deruty — a międzynarodowy system kredytowy nie przestawał funkcjonować; nietylko nie przestał funk-

[1] Umieszczając tę rozprawę, Autor pragnąłby wywołać dyskusję.

cjonować, ale uratował świat — trzeba to dziś przyznać — od nieobliczalnego w następstwach swoich załamania się. Tam gdzie funkcjonowanie jego stało się — dla względów politycznych — niemożliwem, jak w Rosji sowieckiej, tam doszło do zupełnej ruiny gospodarstwa.

Więc konstatujemy fakt, że międzynarodowy system kredytowy oddał ogromne usługi gospodarce światu i że narazie funkcjonuje w dalszym ciągu prawidłowo. Czy będzie tak jednak zawsze i czy niebezpieczeństwo jakichś nowych zawikłań minęło już bezpowrotnie? Pytanie to nie jest bynajmniej zagadnieniem czysto teoretycznem, ono porusza najrealniejsze podstawy gospodarczego życia — to też winni mieć na nie oczy otwarte ci wszyscy, którzy tem życiem kierują.

W zasobach bogactwa narodów zaszły po wojnie europejskiej ogromne przesunięcia; są wskutek tego narody, co się w wysokim stopniu zadłużyły i wciąż jeszcze zadłużają — i znowu inne, co pożyczają. Te ostatnie muszą oczywiście dbać o spłatę należnych im procentów i amortyzację kapitału. A narody dłużne — nato, żeby ze swej strony sprostać mogły zobowiązaniom przez siebie zaciągniętym — zmuszone są rozwijać coraz bardziej produkcję i sprzedawać jej wytwory zagranicy. I oto koło się zazębia: długi, wskutek tego konieczność wzmożonej produkcji — i dalsza konieczność zbytu wyprodukowanych towarów.

Jasnem się staje, iż zasadniczym warunkiem możności oprocentowania i amortyzacji zaciągniętych i zaciąganych kredytów, jest konieczność ciągłego rozszerzania ram handlu światowego. Tymczasem spotykamy się wszędzie — pomimo rozlicznych konferencyj międzynarodowych, poruszających ten temat — raczej z zarządzeniami, utrudniającemi ów handel. W Genewie, na forum Ligi Narodów, mówią reprezentanci poszczególnych państw przy wspólnym stole obrad, oficjalnie dużo o „pokoju" — nieoficjalnie jednak stara się każdy naród być możliwie samowystarczalnym na wypadek „wojny". Stąd owe zarządzenia.

Cóż tedy nastąpi, jeśli pewnego dnia narody zadłużone nie będą w stanie uczynić zadość zobowiązaniom swoim — albo dlatego, że nie zdołają wyprodukować odpowiedniej ilości towarów, albo też, że nie będą w możności ich zbyć?

Wiemy zresztą już dziś, że nie wszystkie kraje dłużnicze są w stanie zbywać swe produkty w takiej ilości, jaka jest potrzebna dla pokrycia ich zobowiązań oraz bieżących potrzeb narodu. W tym stanie rzeczy zmuszone są one — w dalszym ciągu pożyczać. Ale czy narody pożyczające zechcą i czy będą mogły tak wciąż bez ustanku pożyczać? A jeśli nie będą mogły? Co będzie wtedy? Kredyt międzynarodowy może być w pewnym momencie ponad miarę obciążony (jeśli w porę nie nastąpi odciążenie) i mogą mu znowu grozić ogromne trudności.

Sprawa poruszona przez angielskiego ekonomistę, jest sprawą pierwszorzędnej wagi. Nie wyczerpuje jednak kwestji. Mówi dużo o trudnościach, z jakiemi spotkać się ewentualnie może gospodarka świata na rynku finansowym, nie omawia jednak bliżej komplikacji, jakie zagrażają tej gospodarce ze strony rynku towarowego i rynku pracy. A z tego punktu widzenia sprawa przedstawia się niemniej ciekawie; warto jej się stanowczo przyjrzeć.

Kto się bliżej zajmuje sprawami gospodarczemi, kto je bada, a przedewszystkiem zgłębia, kto się im przygląda, że się tak wyrażę, z lotu ptaka, to znaczy objektywnie, szersze obejmując horyzonty, ten nie mógł nie zauważyć, iż w życiu gospodarczem świata wzrasta wciąż — powoli, ale stale, wielce niebezpieczny konflikt pomiędzy zwiększającemi się ciągle wymaganiami klas pracujących, z jednej strony — możliwościami, to znaczy opłacalnością w tych warunkach produkcji, z drugiej strony — wreszcie możliwościami t. j. siłą odbiorczą konsumenta, ze strony trzeciej. Nie ulega wątpliwości, że wspomniane wymagania klas pracujących są — jeżeli o samą zasadę chodzi — najzupełniej słuszne; błąd polega na tem, że stawiane są one często bez oglądania się na rzeczywistość, zbyt teoretycznie, przez co wywołują niejednokrotnie groźne komplikacje w związku z faktycznym stanem rzeczy. Konflikt ów pogłębiła wojna światowa. Zamieniono wówczas część świata w jedną wielką fabrykę broni i amunicji — a w miarę jak się wojna przeciągała, jak wymagała coraz większych wysiłków i nakładów, jak obejmowała coraz szersze tereny — dawano tym, którzy w owej fabryce pracowali, coraz większe prerogatywy. Oto początek. Potem, gdy podpisano

wreszcie tak niebywałemi ofiarami okupiony pokój, nie sposób już było cofnąć się z tej tak dogodnej dla klas pracujących pozycji — zresztą nie było może nawet po temu potrzeby. Ale — jak zawsze po krwawych i głęboko w ustroje społeczne sięgających przewrotach — poszły po owej wojnie rządy wszystkich państw zanadto na lewo, mówię „zanadto" w tem znaczeniu, że ulegając naciskowi — z jednej strony bardzo zacnych, ale przeważnie nierealnych teoretyków-marzycieli, a z drugiej (i to częściej) nieuczciwych, bo więcej o siebie, niż o sprawę dbających demagogów i karjerowiczów, którym z mętami powojennej powodzi udało się wypłynąć na powierzchnię życia politycznego — przestały liczyć się w swej polityce socjalnej z rzeczywistością, wypuściły z ręki ołówek, zapomniały widocznie o tem, że i w tej dziedzinie obowiązuje, jeśli już niezawsze zupełnie ścisły — to w każdym razie rachunek prawdopodobieństwa, i rozpętały do tego stopnia apetyty tych, którzy mniej lub więcej słusznie mianowali siebie reprezentantami proletarjatu, że obecnie nietylko nie może już być mowy o jakimkolwiek nawrocie, ale że przeciwnie wymagania stale z roku na rok wzrastają bez żadnego uzgodnienia z możliwościami strony przeciwnej. Cierpi na tem, rzecz prosta, interes ogółu.

Żeby sprostać tym wzrastającym ciężarom, pracodawcy zmuszeni są rozszerzać stale ramy produkcji, która się już dziś w niejednym wypadku przestaje kalkulować (cytowano mi zagranicą odnośną opinję wybitnego angielskiego przemysłowca). Więc sztukują topniejące zyski, powiększając rozmiary produkcji, w myśl słusznej zasady, że drobny nawet zysk, rozłożony na dużą ilość wyprodukowanych dóbr, stanowi w rezultacie ogólnym poważną pozycję.

Jakże się teraz przedstawia łańcuch tych, tak zależnych od siebie i coraz bardziej uzależniających się zjawisk? Oto wskutek rosnących wciąż wymagań pracujących mas, pracodawcy zwiększają stale produkcję, nie licząc się oczywiście zupełnie z rzeczywistemi potrzebami konsumenta. Ale produkować nie można wyłącznie na skład; trzeba mieć odbiorcę. A o tego odbiorcę — coraz trudniej. W tej wyjątkowo ciężkiej sytuacji przychodzi producentowi z pomocą — reklama.

Reklama dziwne przebyła koleje. Nie tak dawne to jeszcze czasy, kiedy jej wcale prawie nie znano w dzisiejszej postaci. Reklama polegała właściwie na mniejszym lub większym sprycie odnośnego kupca. Dziś — zawładnęła ona światem. Nazywają ją „stugębną". Niezliczona ilość ludzi żyje z niej i pracuje dla niej. Prasa i drukowane słowo naogół, są na jej usługi — służą jej również pokornie wszystkie niemal wynalazki genjuszu ludzkiego w dziedzinie techniki. Z chwilą, gdy poczuła swą potęgę, stała się jednak w niejednym wypadku niemoralną, a przez to szkodliwą. Pracodawcom, produkującym na gwałt, bez opamiętania, pod naciskiem wymagań klas pracujących — przyszła narazie ze skuteczną pomocą. Wzięła konsumenta w swe posiadanie — opętała go niejako. Weźcie pierwsze lepsze wielkie miasto, taki Paryż n. p., ów „nowożytny Babilon", jak go ktoś trafnie nazwał, czy Londyn, czy Berlin.... Zwiedźcie je wieczorem. Reklama tam wszędzie, niby olbrzymi odkurzacz, wsysa — porywa — przytłacza nieszczęśliwego konsumenta. Wspaniałe witryny, oślepiające światła, efekty świetlne, kuszące napisy, zgiełk ulicy, zapraszanie, wesoły śmiech, wesoła muzyka — „reklama" w oknach, na murach domów, na trotuarach, na firmamencie niebieskim — na wozach, na autach, na ludziach, na zwierzętach — „reklama" woła na konsumenta wszystkiemi głosami, którym tak trudno oprzeć się słabej, dziś więcej może niż kiedykolwiek zepsutej, naturze ludzkiej:

„Wejdź — zobacz!"
„Kup — weź na raty — weź na kredyt!"
„Użyj wreszcie — przedewszystkiem użyj!"

I oto — na skutek tej, a może więcej na skutek „takiej" reklamy, płynie złoto z rąk konsumenta — do rąk producenta; płynie złoto, jakżeż często już dziś nad możność oszołomionego reklamą konsumenta; płynie jeszcze — ale jak długo tak płynąć będzie mogło? Niech sobie zada to pytanie każdy, kto poważnie nad tym zupełnie nowym problemem zastanowić się zechce. Podawano mi zagranicą zestawienie kosztów przeciętnego automobilu, wyprodukowanego w Ameryce, z ceną sprzedażną tegoż automobilu w Europie. Cóż za szalona różnica! A lwia część

tej różnicy — to koszty reklamy. Reklama jest, w dzisiejszych warunkach, koniecznością, bo bez reklamy niktby dziś tej masy wyprodukowanych dóbr nie był w stanie ani zbyć, ani nabyć — ale olbrzymi koszt tej reklamy dowodzi, jak trudno i coraz trudniej jest wtłoczyć w konsumenta niezliczone wytwory olbrzymiej dzisiejszej produkcji. I dlatego reklama chwyta się dziś wszystkich sposobów, gra nieraz na najniższych instynktach człowieka, osacza go formalnie. Faktyczne potrzeby konsumenta, jego możliwości — nic ją nie obchodzą; wpakować dany przedmiot — i iść dalej. „Après moi le déluge!" — oto jej dewiza. Reklama stała się w ten sposób poniekąd koniecznością, a jednocześnie, dziwnym zbiegiem okoliczności — jęła demoralizować ludzi. Oto tragizm sytuacji. I świat nie wie, jak z tego wybrnąć. Budzenie wciąż nowych potrzeb w człowieku — nazywa się postępem. Ale budzenie potrzeb nad miarę i możność, bez żadnej rachuby i opamiętania, to już nie postęp, to jakieś rozpaczliwe, oszalałe szukanie wyjścia z sytuacji, z której na tej drodze wyjścia już bodaj niema.

W tem oświetleniu stanie się może więcej zrozumiałą (bo zupełnie zrozumiałą nigdy dla mnie nie będzie) owa poniżająca polityka, jaką cywilizowane rzekomo państwa Europy stosują wobec krwią przesiąkniętej, przegniłej doszczętnie moralnie Rosji sowieckiej. Znoszą cierpliwie jej butę i arogancję, pakty z nią zawierają, nie reagują odpowiednio na gwałty z jej strony, o pomstę do nieba wołające akty gwałtu wobec bezbronej ludności, tolerują milcząco poniewieranie największych świętości — bo ta zohydzona w najwyższym stopniu, a jednocześnie w najwyższym stopniu nieszczęśliwa Rosja, a za nią daleki Wschód, to kiedyś dla zmaterjalizowanej Europy — nieodzowny rynek zbytu, to dla duszącej się produkcji Zachodu jedyny zczasem wentyl bezpieczeństwa, to możność ekspansji, to ujście dla tych zgęszczonych nadmiernie sił, nagromadzonych na ciasnych terenach, a grożących rozbiciem całości. Z tego — i przeważnie tylko z tego punktu widzenia — traktują rządy państw europejskich bolszewizm i jego rozkładową politykę.

A tymczasem robotnik woła wciąż o większe zarobki —

pracodawca rozszerza stale produkcję — a konsument kupować narazie musi, czy chce — czy nie chce, czy może — czy nie może.

Kiedyś jednak — nawet żeby olbrzymie tereny Rosji ulżyły na czas jakiś ogólnej sytuacji — kiedyś urwać się będzie musiał ów łańcuch, który w tak sztuczny i nieobliczalny sposób wiąże dziś z sobą robotnika, producenta i konsumenta. I co wtedy? Co będzie wtedy — kiedy łańcuch ów z trzaskiem pęknie, a pojedyńcze jego ogniwa rozlecą się gwałtownie, każde w inną stronę? Wtedy nastąpi przypuszczalnie w Europie — katastrofa gospodarcza. Ale cóż znaczy — „katastrofa"? W tym stanie rzeczy, to najprawdopodobniej — zmiana ustroju gospodarczego. Czy na lepsze? Wątpię. Z poza kulis szczerzy już dziś, w obleśnym uśmiechu, zęby — komunizm... I zaciera radośnie ręce, ciesząc się z głupoty starej już widocznie bardzo, a z pewnością — bardzo zdemoralizowanej Europy.

Powiedział mi ktoś wielce kompetentny w tych sprawach, nie tu u nas, ale na Zachodzie Europy, kiedyśmy na powyższy temat rozmawiali, że mu się cała Europa wydaje nieraz jakimś gigantycznym automobilem, pędzącym z coraz większą szybkością po drodze, na końcu której widnieje gdzieś w sinej dali — mur. Jeżeli nie nastąpi nic, coby ją w tym szalonym biegu powstrzymać mogło — to się o ten mur w drobne roztrzaska kawałki. Rezultatem takiej katastrofy musiałby być, zdaniem mojego rozmówcy — komunizm. Tu się zdania nasze najzupełniej zbiegły. Widzę masę czarnych sił — dodał mój rozmówca — które pracują nad wytworzeniem takiej sytuacji. Wiem, że są i białe—kończył— ale tych białych nie widzę. Perspektywa zaiste niezachęcająca.

Ale czyż, wobec takiej perspektywy, nie czas najwyższy, żeby się wreszcie porozumieli z sobą rozsądnie robotnik, pracodawca i konsument? Żeby zrozumieli wreszcie, że postęp ludzkości, że cała jej przyszłość leży — nie w ciągłej walce i nienawiści, która nigdy, nigdzie nic jeszcze nie zbudowała, ale przeciwnie — w dyscyplinowaniu namiętności zarówno jednostek, jak i całych mas, w urobieniu moralnego charakteru obywatela, w wynoszeniu ponad wszystko momentów etycznych, w ogniskowaniu ducha pod hasłami wzajemnego poszanowania i miłości. Niechby

zaprzestali dzielić siebie na „klasy”, a jęli wreszcie wyrabiać w sobie „człowieka”, niechby każdy mniej myśleć począł o sobie, a zato więcej o całości. Bo tam gdzie całość jest zdrowa, tam i pojedyńcze jej części prosperują. A cóż pomoże rozkwit jednej części, wobec rozkładu całości? Rychło i ją rozkład ogarnie.

W jednym z tygodników warszawskich czytałem na początku bieżącego roku uwagi p. Augusta Popławskiego, byłego wiceministra Skarbu, wypowiedziane z okazji Międzynarodowej Konferencji Ligi Narodów, poświęconej rolnictwu. Cytuję tu dosłownie następujące zdanie, wyjęte z powyższego sprawozdania: „Z dwóch kategoryj niebezpieczeństw — nadmiernych a nieuzasadnionych zbrojeń i bezładnej produkcji bez zapewnionego zbytu — kategorja ostatnia, o charakterze ekonomicznym, jest napewno bardziej groźna”. Pan Popławski miał tu na myśli produkcję rolną. W zastosowaniu do produkcji świata naogół — stanie się powyższe zdanie jeszcze groźniejszem „memento”.

Skąd doszło w świecie — zadaję sobie teraz pytanie — do tak dalece zawiłych stosunków, iż zdawałoby się na pozór — wyjścia już z nich niema? Wydaje mi się, iż spowodował je zaznaczający się coraz więcej rozdźwięk pomiędzy cywilizacją a właściwą kulturą, pomiędzy człowiekiem, że się tak wyrażę, zewnętrznie odpolerowanym — a człowiekiem wewnętrznym. Z jednej strony obserwujemy bowiem oddawna szalony rozwój techniki, epokowe wynalazki, opanowanie lądów, mórz, powietrza przez genjusz ludzki, z drugiej — ogromne opóźnienie w rozwoju strony duchowej człowieka. Stąd coraz większe dysonanse w twórczości ludzkiej i czynach, coraz głębsze rozdźwięki, spowodowane interwencją człowieka w ową niepokalaną pierwotnie harmonję, którą w dzieło Swe tchnął niegdyś Bóg. Chcąc dziś ratować sytuację, trzeba zacząć nawracać do owej pierwotnej harmonji, trzeba odnaleźć i wyrobić „wewnętrznego człowieka”, jedynego reprezentanta prawdziwej kultury. Niechby skutkiem jego działania szala losów świata wróciła powoli do owej równowagi, z której ją wytrąciły wielce lekkomyślne i wysoce karygodne eksperymenty — człowieka cywilizacji.

DOKUMENTY.

Odezwa Episkopatu Polski w sprawie antyreligijnych wystąpień na zjeździe Związku Nauczycieli Szkół Powszechnych w Krakowie w lipcu 1930 roku.

Pomyślna przyszłość narodu opiera się przedewszystkiem na jego wartościach duchowych i moralnych. Największy dobrobyt materjalny, najsprawniejsze rządy, najsilniejsza potęga militarna, jakkolwiek wielką w życiu pokoleń odgrywają rolę, nie dają istotnej i trwałej podstawy pomyślności i prawidłowego rozwoju społeczeństwom.

Natomiast oświata, oparta na zasadach religijnych, wszczepianie cnót religijno-moralnych we wszystkie społeczne warstwy stanowią niewzruszalne warunki zdrowych i do dalszego rozwoju zdolnych społeczeństw.

Zrozumienie owych cnót, a równocześnie zachętę do ich zdobywania czerpią społeczeństwa z depozytu wiary, złożone, w Kościele Bożym, w Kościele, z woli swego Założyciela, Jezusa Chrystusa, nieomylnym i niezniszczalnym. Zadaniem Kościoła jest stawianie przed oczy jednostek i społeczeństwa tych kryterjów, z wiary wypływających, które jednostkom i społeczeństwom mają nadawać ich prawdziwą wartość i wskazywać im niezawodne środki do pomyślności doczesnej, a w ostatnim stopniu do Boga wiodące.

Bez praw wiary, bez stałych zasad moralnych, bez silnego oparcia się o Stwórcę i Jego objawioną wolę, traci człowiek, a tem więcej tracą społeczeństwa kierunek swego postępowania, gubią się w działaniu, sprzeniewierzają się swoim obowiązkom i zadaniom.

Z pokoleń składa się naród, który jest takim, jakim go uczyniło wychowanie młodzieży. Wychowanie bezreligijne, a więc pozbawione wskazań Bożych, tworzy narody bez jasnej i prostej drogi życiowej, czyni je igraszką zmiennych, dorywczych losów i daje do nich przystęp prądom niebezpiecznym, szkodliwym i zatruwającym ich siły żywotne.

Pragnąc przyczynić się do wykrzesania w narodzie naszym jaknajwyższych wartości moralnych, a tem samem podnieść go na jaknajwyższy stopień prawdziwej kultury, Kościół katolicki w Polsce nie ustał w spełnianiu swego, od Boga danego mu posłannictwa. Tak w czasie niewoli, jak i od chwili odzyskania niepodległości państwowej szedł Kościół w Polsce przez swe duchowieństwo i wiernych na czele tych, którzy dla dobra ogólnego pracują, a wśród których szkoła zajmuje wybitniejsze miejsce.

Niestety, Kościół w tej swojej tak doniosłej pracy doznaje niejednokrotnie przeszkody. Co gorsza, wpływ jego na życie społeczne stara się podrywać pewna organizacja nauczycielska, która się nazywa Związkiem nauczycielstwa szkół powszechnych.

W pierwszych dniach lipca b. r. odbył się w Krakowie Zjazd tego związku. Zdawaćby się powinno, że Zjazd członków tak licznego związku wychowawców naszej polskiej młodzieży, cieszącej się poparciem i opieką Władz szkolnych, poświęci wszystkie chwile i narady swoje rozważaniu, jakiemi środkami należałoby pogłębić oddziaływanie wychowawcze na dusze młodzieży, czemby można rozbudzić w młodych tych duszach, nauczycielowi przez rodziców powierzonych, miłość do Stwórcy i do życia nadprzyrodzonego, jak nastroić piękne struny pobożności dziecka, aby przez całe dalsze życie grały hymn wdzięczności dla Boga za Jego niezliczone dary, na duszę nieśmiertelną zlewane.

Tymczasem, jak ze sprawozdań ze Zjazdu tego wynika, wygłaszano na nim postulaty tak sprzeczne z wymaganiami zdrowego wychowania, tak nienawistne w stosunku do religji, do Kościoła i sług jego, że wzbudziły w społeczeństwie powszechne uczucie zgrozy i lęku o dusze naszej młodzieży szkolnej.

Już niejednokrotnie miał Episkopat Polski smutną sposobność słyszeć z kół tego Związku nauczycielskiego głosy, zmierzające do osłabienia, a nawet usuwania wpływu religijnego na wychowanie szkolne. Jednakże pocieszaliśmy się tem, że te oderwane głosy nie znajdą posłuchu w szerokich kołach całego nauczycielstwa i że przycichną, skoro o szkodliwości swych postulatów na wychowanie młodych pokoleń się przekonają.

Tymczasem złowrogie te głosy powtarzają się coraz częściej i odzywają się coraz silniej bez ogólnego sprzeciwu tych tysięcy katolickich nauczycieli do Związku wpisanych.

Wobec tego dłużej milczeć nie możemy. Walka ta bowiem jest walką o Boga, o Jego panowanie w duszach młodzieży, o Jego rządy w szkołach polskich a nawet w Polsce całej. Walka ta z religijnością w nauczaniu i wychowaniu szkolnem prowadzi do znieprawienia duszy młodego pokolenia tak, jak znieprawiła dusze w sąsiednim kraju rosyjskim.

Tej walce, przez odpowiedzialne czynniki Związku nauczycieli szkół powszechnych tak niedwuznacznie wypowiedzianej religijności w szkole, jest naszym pasterskim obowiązkiem się przeciwstawić.

Przeto w imieniu całego Episkopatu Polski my, Komisja, przez tenże Episkopat wybrana, postulaty, jakie na wzmiankowanym zjeździe krakowskim Związku nauczycielskiego wypowiedziano, piętnujemy jako bezbożne i wrogie wierze, Kościołowi katolickiemu, a zgubne dla Narodu i Państwa. Protestujemy przeciwko temu, aby w takim duchu wpływano na nasze nauczycielstwo i aby usiłowano w takim duchu prowadzić młodzież szkolną. Młodzież nasza należy naprzód do rodziców, potem do Kościoła a wreszcie do Państwa. Ponieważ rodzice, Kościół i Państwo zgodnie wymagają, by nauczycielstwo młode pokolenie wychowywało w duchu religijnym, nauczycielstwo całe do tego zastosować się jest obowiązane.

Wiemy, że wielka liczba nauczycieli, nawet należących do Związku, nie podziela tych, wyżej napiętnowanych, dążeń, dlatego zwracamy się do nich z wezwaniem o jasne zajęcie stanowiska w stosunku do tych dążeń, z sumieniem katolickiego i Państwu oddanego wychowawcy niezgodnych. A jeśliby ich głos i żądanie zaprzestania tej walki z religją w szkole nie doznały w tym Związku nauczycieli uwzględnienia, nie pozostaje katolickiemu nauczycielowi inna droga, jak Związek taki opuścić a poprzeć taką organizację nauczycielską, która religijnemu oddziaływaniu na duszę dziecka poświęca odpowiednie zrozumienie i poparcie.

Rodzicom zaś katolickim zwracamy uwagę na to wielkie niebezpieczeństwo, ich dzieciom ze strony takich nauczycieli nie-

religijnych grożące, z tem, aby pilnie badali, jakim nauczycielom powierzają swe dzieci. Dla nauczyciela, uczącego wedle zasad Kościoła i przyświecającego dziecku pobożnością, niech chowają wdzięczność. Jeśliby atoli spostrzegli, że nauczyciel przepisy wiary lekceważy i swych obowiązków, jako katolicki wychowawca, wobec dzieci nie spełnia, powinni rodzice wespół ze swymi duszpasterzami zażądać przez Rady i Opieki szkolne od Władz szkolnych zmiany wychowawcy.

Czuwajcie, aby zło niespostrzeżenie nie zepsuło wam dzieci a przez nie całego narodu.

Warszawa, dnia 9 sierpnia 1930 r.

(—) Aleksander Kardynał Kakowski, August Kardynał Hlond, Adam Sapieha, Arcybiskup Krakowski, Bolesław Twardowski, Arcybiskup Lwowski, Romuald Jałbrzykowski, Arcybiskup Wileński, Henryk Przeździecki, Biskup Podlaski, Stanisław Łukomski, Biskup Łomżyński, Adolf Szelążek, Biskup Łucki.

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Kongres Eucharystyczny w Poznaniu i sprawy z nim związane.

W końcu czerwca odbył się w Poznaniu wspaniały Kongres eucharystyczny ogólno-państwowy.

Przebieg Kongresu i jego uchwały podała w swoim czasie prasa codzienna. Zaznaczyć tu tylko należy, że Kongres wypadł wspaniale, zwłaszcza procesja i zakończenie imponowały liczbą wiernych i duchowieństwa, powagą i pobożnością, odświętnym wyglądem pięknie przystrojonego miasta.

Nowością, zasługującą na wyróżnienie, była obecność Dostojników grecko-katolickich z Małopolski Wschodniej. Była to manifestacja jedności katolickiej dwóch obrządków i dwóch narodów w służbie Najświętszej Eucharystji. Niezawodnie następstwem tego udziału było odbycie konferencji Komisji Biskupiej we Lwowie (dn. 10 lipca), skutkiem czego J. E. X. Kardynał Prymas był gościem J. E. Metropolity Szeptyckiego, co,

musimy dodać, wywołało w prasie nacjonalistycznej gorączkę zaniepokojenia i komiczne wyjaśnienia, jakby ona była do tego upoważniona, i jakby ta Konferencja miała charakter polityczny, co robił, gdzie spał i gdzie przebywał Prymas.

Organizatorzy Kongresu, którzy się dobrze zasłużyli dla sprawy katolickiej, postanowili Kongres połączyć z obradami i powzięciem pewnych uchwał. Komisyj obradujących było sporo. Chcemy tu trochę uwagi poświęcić komisji pisarzy katolickich i inteligencji katolickiej.

Organizatorzy postanowili przedłożyć zebraniu wniosek o konieczności utworzenia związku inteligencji katolickiej. Przeciwko temu nikt nic nie mógł mieć. Powstały jednak wątpliwości, czy wniosek taki dostatecznie uwzględnia to, co już w Polsce jest zrobione. Niezawodnie na skutek tego Przewodniczący sekcji J. M. Pan Rektor Kasznica drugiego dnia zaprosił do swego gabinetu na konferencję prezydjum komisji, mianowicie X. prof. S. Kowalskiego, p. Potworowskiego i p. Z. Morawskiego, oraz z poza prezydjum p. prof. Górskiego i X. prof. Szymańskiego, obu z Lublina. Na konferencji postanowiono zmienić pierwotny projekt uchwały w ten sposób, że zamiast słów: Kongres uznaje konieczność zorganizowania nowego związku inteligencji katolickiej — zaproponowano słowa: Kongres uznaje konieczność zorganizowania inteligencji katolickiej w Związek, przez uwzględnienie istniejących już poczynań, i ten wniosek był przez sekcję inteligencji uchwalony. Do prasy dostał się jednak projekt w formie pierwotnie proponowanej, a nie rzeczywiście przyjętej, wskutek tego, że podano go wcześniej do wiadomości prasy, co się powszechnie praktykuje na zjazdach. Niema to większego znaczenia. Istotnem jest to, że wspólnie uznano, iż nie należy czynić tabula rasa z tego, co już jest zrobione i iż należy uzgodnić wszystkie wysiłki, już dokonane i projektowane, dla wzmocnienia akcji katolickiej wśród inteligencji.

Na sekcji prasy katolickiej było tłumno. Gdyby przyjąć, że ci wszyscy obecni są pisarzami i publicystami katolickimi, stalibyśmy pewno na czele pisarskiej armji katolickiej w świecie. W każdym razie ta tłumna obecność dowodzi, że inteligentni ka-

tolicy przywiązują wielką wagę do obrad i organizacji pisarzy i publicystów katolickich. Na sekcji tej postanowiono również utworzyć stowarzyszenie pisarzy katolickich. Przeprowadzenie tego dzieła, z uwzględnieniem tego, co już tu i ówdzie zrobiono, będzie wielką zasługą organizatorów kongresu. Wybrano też komitet organizacyjny. Niestety, był on jednostronnie pomyślany. Skutkiem tego dokooptowano kilka osób, mianowicie (na wniosek p. inż. Piechockiego) X. prof. Szymańskiego od wydawnictw lubelskich i X. Turowskiego od wydawnictw palotyńskich oraz (na wniosek nieznanej mi osoby) X. J. Urbana od wydawnictw jezuickich. Tym sposobem komitet został powiększony aż do 15 osób, ale naszem zdaniem ta kooptacja nie wiele poprawiła stan rzeczy. Chodzi bowiem nie tyle o organizację księży piszących i redagujących, ile o organizację katolickich pisarzy i publicystów świeckich, a kooptacja dotyczyła tylko księży. Piszemy o tem, ponieważ byłoby niedobrze, gdyby tak potrzebna organizacja czołowej inteligencji katolickiej miała utknąć zaraz od początku, albo stać się tylko organizacją jednostronną.

Wielki też był gdzieś brak organizacyjny, że w prasie pojawiły się dwie różne wersje tego ustępu przemówienia J. E. Kardynała Prymasa, który odnosił się do stosunku Kościoła do obecnego rządu. Na tem tle była nawet polemika między pismami politycznemi, co nie wychodzi na dobre sprawie katolickiej.

Komitet niezawodnie wyda Księgę pamiątkową. Oczekujemy jej z niecierpliwością, gdyż będzie zawierać bardzo dużo pożytku duchowego dla katolików.

Na zakończenie tych uwag podkreślamy jeszcze raz, że Kongres był wspaniałą manifestacją pobożności i wiary ludu polskiego i że powinien pogłębić akcją katolicką w Polsce. Organizatorzy dokonali wielkiego dzieła. *X. A. Szymański.*

Cud nad Wisłą. Nie można się było powstrzymać od bolesnych uczuć, gdyśmy obchodzili dziesięciolecie zwycięstwa nad bolszewikami. Czyśmy obchodzili, czyśmy sobie robili na złość? Główne organy prasy opozycyjnej wychwalały wielu generałów, ale nie miały życzliwego słowa dla Marszałka J. Piłsudskiego, nawet nie

podały jego podobizny w szeregu podobizn innych generałów. Rząd oficjalną uroczystość przeniósł na inny czas, a jego prasa zmniejszała zasługi tych, których wychwalała opozycja. Byle sobie zrobić na złość. Czy więc to, co miało być podniesieniem ducha i podziękowaniem Bogu, nie stało się grzechem i nie było wyzwaniem Jego gniewu? Wielu zadawało sobie pytanie, czy inspiratorom przeniesienia oficjalnej uroczystości na inny czas nie chodziło o podkreślenie, że zwycięstwo nad bolszewikami odbyło się bez nadprzyrodzonej i opiekuńczej pomocy Boga i Najświętszej Marji Panny?

Ale nie wszystko było złością i nienawiścią. Pod przewodnictwem swoich Biskupów i proboszczów lud katolicki gromadził się w kościołach, aby dziękować Bogu za odniesione zwycięstwo i błagać o dalsze łaski i pomoc. To była Polska, ta, którą Bóg ocalił, i dodajmy, to była akcja katolicka. To, co się działo poza kościołem, obchody, akademje itd., już różnie wypadło, tam już nieraz zalatywały złość i nienawiść, zamiast prawdy i zgody.

Cud nad Wisłą pokazał naocznie, jak jest potrzebnem odrodzenie moralne działaczy i polityków, którzy zatruwają swą złością i nienawiścią katolicki lud.

Czy ten głos będzie słyszany, zwłaszcza teraz w okresie wyborczym? w okolicznościach, w których Prezes Rady Ministrów mówi o swoich przeciwnikach posłach, że jeśli po usunięciu ich z urzędu, jeszcze im coś dołożą, to także nie szkodzi?

Katolicy, nie dając się unieść namiętnościom politycznym, powinni szerzyć sprawiedliwość i miłość — i pokój.

Z RUCHU ODRODZENIOWEGO.

IX Tydzień Społeczny.

W dniach od 20 do 26 sierpnia zebrała się, jak lat ubiegłych, spora gromada studentów i studentek. Był to przeważnie młody zarybek, stanowili oni większość wśród uczestników Tygodnia. Wielu starszych odbywało ćwiczenia wojskowe. Wśród gości zauważyliśmy pisarzy, p. Lutosłańską z Krakowa,

p. Lechickiego ze Lwowa, p. Frankowskiego z „Polski". Był też na całym Tygodniu X. prof. Dr. Konrad ze Lwowa, przedstawiciel ukraińskiego ruchu katolickiego wśród studentów.

Ojciec św. łaskawie nadesłał dla Tygodnia błogosławieństwo apostolskie. Błogosławieństwo i życzenia nadesłali też X.X. Biskupi, w szczególności J. E. X. Kardynał i J. E. X. Kardynał Prymas. Ojcowską opieką otoczył Tydzień Najdostojniejszy Pasterz lubelski. On też odprawił Mszę św. na otwarcie Tygodnia i przemówił do słuchaczy, wzywając ich do ofiarnej pracy: do walki obronnej i do pracy pozytywnej nad budowaniem Królestwa Bożego.

IX Tydzień ma wyjątkowe znaczenie dla ruchu odrodzeniowego. Na Kongresie w Warszawie w ub. r. Odrodzenie zgłosiło prośbę o przyjęcie do akcji katolickiej, która jest nowoczesną wyprawą krzyżową dla zdobycia *Civitatis Dei.* Następstwem tej uchwały było przyjęcie za temat Tygodnia Społecznego zagadnienia akcji katolickiej. Jako zaś wzór do naśladowania wzięto św. Augustyna, którego 1.500 rocznicę śmierci obchodzimy w tym roku, tego św. Augustyna, który cały żył akcją katolicką.

Jak w żadnym innym roku, tak w tym nie dopisali nam w ostatniej chwili liczni prelegenci z przyczyn niezależnych od nich. Mimo to Tydzień nie załamał się, gdyż błogosławieństwo Ojca św. i Hierarchji Kościelnej spoczywało na nim.

W inauguracyjnym wykładzie J. M. X. Rektor J. Kruszyński z Lublina podał religijno-moralne tło życia i nawrócenia św. Augustyna. Postać tego Doktora i Apostoła związał ze św. Pawłem X. prof. Wł. Krawczyk z Poznania. O dalszych dziejach akcji katolickiej, w początkowej gminie chrześcijańskiej i w okresie początków cywilizacji chrześcijańskiej mówili X. prof. Wł. Krawczyk i o. prof. Z. Ogarek ze Lwowa. Na tem tle jako ideał jasno wystąpiła Idea państwa chrześcijańskiego według św. Augustyna, przedstawiona przez X. prof. J. Pastuszkę z Warszawy.

O współczesnych społecznych podstawach akcji katolickiej mówił X. prof. A. Szymański z Lublina. Wyjaśnienie, czem jest akcja katolicka w swym ustroju, miał na celu referat X. Wł. Lewandowicza z Warszawy o hierarchji kościelnej i świeckich.

Poszczególne zagadnienia omawiali: X. prof. Wł. Krawczyk — Apostolstwo świeckich, X. Dyrektor Wł. Lewandowicz — Akcja Katolicka a życie publiczne, inż. Stefan Piechocki — Akcja Katolicka a ruch społeczny, p. Halina Doria-Dernałowicz z Warszawy — Rola organizacyj kobiecych w akcji katolickiej, Mg. Kazimierz Malko — Młodzież akademicka w akcji katolickiej.

X. Stefan Wyszyński z Włocławka przedstawił stan akcji katolickiej w krajach zachodnich, na podstawie studjów na miejscu. Wreszcie X. Infułat Stan. Adamski wyłożył teologiczne podstawy akcji katolickiej i przedstawił statut akcji katolickiej w Polsce, zatwierdzony przez Episkopat.

Nadto X. Wł. Lewandowicz omówił literaturę i źródła akcji katolickiej.

Na wieczornem nabożeństwie przemawiali w Kaplicy: X. prof. Kaz. Kowalski z Gniezna o św. Augustynie i epoce dzisiejszej oraz o Mistyce św. Augustyna, X. prof. Karol Csesznak ze Lwowa o trudnościach religijnych św. Augustyna, o Drodze do Boga na tle wyznań i o Kościele, jako Ciele mistycznem Chrystusa Pana, wreszcie X. prof. Wł. Korniłowicz z Lublina o Najświętszej Eucharystji.

Uczestnicy Kongresu recytowali odpowiednie części Mszy św., które były ofiarowywane w intencji Ojca św., za pracę misyjną, za Ojczyznę, za zmarłych odrodzeniowców i dobrodziejów. Dwie Msze św. były śpiewane po gregorjańsku, co niezmiernie podnosiło nastrój pobożny i ściślej łączyło uczestników z Niekrwawą ofiarą.

Nowością na obecnym Tygodniu było parę minut milczenia w czasie obiadu i w niedzielę po południu pochód w szeregach na adorację Najświętszego Sakramentu. Pochód przeszedł przez całe miasto (bo Uniwersytet jest na jego krańcach), będąc jednocześnie manifestacją katolickiej młodzieży uniwersyteckiej. W katedrze odśpiewaliśmy: Laudate Dominum, odmówili litanję do Najsłodszego Serca Jezusowego i odśpiewali Chwała i dziękczynienie.

Po adoracji w takim samym ordynku udaliśmy się do Pasterza Lubelskiego. Salon nie mógł nas pomieścić, a pewno nie

widział nigdy takiego tłoku. Najdostojniejszy Pasterz w swem przemówieniu wspomniał, że nie może mówić bez wzruszenia o tem, jak ówczesny nuncjusz Mgr. Ratti, spotkawszy go na korytarzu po konsekracji biskupiej, chciał ucałować jego rękę i jak, gdy się od tego bronił, usłyszał głębokie słowa: Biskup nie pozwala mi spełnić aktu wiary. Takim aktem wiary — kończył Pasterz — jest wasze przyjście do Biskupa, który zastępuje Chrystusa w rządach Kościoła.

Życie towarzyskie rozwijało się według ustalonych już norm, były śpiewy, gazetki, zwłaszcza ta najwspanialsza, napisana dialektem wileńskim, była też przymusowa a zabawna bytność w komisarjacie, no i fotografje, oficjalne i prywatne. Nowością była gra w siatkówkę, ciesząca się dużem powodzeniem.

Dodajemy w końcu, że z racji Tygodnia odbyło się kilka zebrań, np. grupy misyjnej (X. prof. Kaz. Kowalski), grupy liturgicznej (kol. Wiśliński), grupy korporanckiej (X. prof. W. Meysztowicz z Wilna), grupy szkolnej (kol. Eustachiewicz) oraz, po raz pierwszy, uczestników księży i kleryków (X. prof. A. Szymański). Osobne posiedzenie odbyły też studentki. *K.*

OCENY KSIĄŻEK I WZMIANKI.

X. Dr. Kazimierz Wais, *Bóg, Jego istnienie i istota.* Wydanie II, poprawione i rozszerzone. Lwów 1930, nakładem Tow. „Bibljoteka Religijna”, w 8-ce, stron 248. Cena 6 zł.

Pierwsze wydanie tej książki (p. t. „Czy i jaki jest Bóg?”) ukazało się przed wojną w Przemyślu i zyskało sobie szeroką popularność, jako najlepsza teodycea w języku polskim, przeznaczona dla czytelników również świeckich, o filozoficznem przygotowaniu. I dziś, po wydaniu dwóch pierwszych tomów „Dogmatyki” X. Sieniatyckiego, książka powyższa nie utraciła nic na swej naukowej wartości. X. Sieniatycki tak w pracy wymienionej, jak i w rozprawie p. t. „Problem istnienia Boga” (1923) rozpatruje przedmiot głównie w świetle Objawienia i ze stanowiska tez podsta-

wowych teologji katolickiej, X. prof. Wais zaś obiera metodę czysto rozumową i nietyle dedukcyjnie, ile raczej indukcyjnie, drogą naturalnego poznania, stara się udowodnić istotę teistycznego światopoglądu.

W 6 rozdziałach, powstałych z wykładów publicznych, Autor wyczerpuje treść swoich wywodów, opartych na wszechstronnie wyzyskanej literaturze, wszędzie sumiennie cytowanej.

Oceniwszy na wstępie stosunek nauki t. zw. oficjalnej do metafizyki Najwyższej Istoty, przeprowadza metodą scholastyczną cztery dowody kosmologiczne na istnienie Boga; w związku z tem osobny rozdział (dodany w II wydaniu) poświęca krytyce poglądów metafizycznych Kanta, wykazując ich kruchość i sprzeczność. Ostatnie trzy rozdziały rozstrząsają istotę Bożą, Jego przymioty i działania nazewnątrz we wszechświecie.

Autor reprezentuje kierunek intelektualistyczny w metafizyce katolickiej i słusznie upatruje w rozumowem uzasadnieniu istnienia Stwórcy najsilniejszą ochronę przed zboczeniem na manowce modernistycznych błędów, sprowadzających sens religji do przeżyć czysto uczuciowych. Wsparty na granitowym fundamencie tomizmu, X. Wais utrwala w swej teodycei, panujący w Kościele, najwłaściwszy pogląd na ten najgłębszy problem nietylko teologji, ale i filozofji.

Przystępna forma zaleca to cenne dzieło szerszym sferom.

X. Bolesław Dobromir.

Wydawca: **Antoni Chaciński.** Redaktor: **X. A. Szymański.**

DRUKARNIA PAŃSTWOWA LUBLIN.